









2157. 6308/85-

Bronisław Szaniawski. 57

3135100

107663

Dzisiejsze Małżeństwa.

SZKICE OBYCZAJOWO-SPOŁECZNE

A 1534

Bolesław Sanach



IGNACY NITTNER

WARSZAWA

NAKLADEM KSIĘGARNI

Teodora Paprockiego i S-ki

41. Nowy-Świat 41.

1894.



A.31217



1000171931

Lot 13a
Hist 12

K 501/61/4

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

~~417~~
6308, 85

I.

MAŁŻEŃSTWA DOBRANE.

ROZDZIAŁ I.

Bolesław Saliach

**Jako babunia wymownymi przykładami stara się dowieść
Tadziowi korzyści małżeństwa.**

W eleganckim saloniku przy ulicy Wspólnej siedziała na fotelu sędziwa matrona. Z pod śnieżnej białości czepeczka wychylały się misternie zawinięte kędziorki siwych włosów, na klasycznym niegdyś nosku obwisły ciężkie, złote okulary, z poza których wyzierały oczy wypłowiałe, może od łez jakichś cichych, ale palących; były to oczy łagodne i poważne, w które można się było wpatrywać długo i czytać w nich dzieje, ubiegłe wśród tej walki, która się zowie życiem.

Naprzeciw sędziwej matrony, na gustownie rzeźbionem krzeselku, siedział chłopiec, młody jeszcze, ubrany skromnie, chociaż dostatnio. Wygląd jego twarzy wskazywał, że to dziecko niezepsute i nieunurzane w błocie moralnem, a wyraz oczów mądrych, czarnych, dowodził, że to już człowiek, który na świat patrzy rozsądnie.

Sympatyczna para prowadziła jakąś ożywioną rozmowę, gdyż matrona uderzała energicznie drutem od pończochy o krawędź hebanowego stolika, na którym leżał olbrzymi kłębek bawełny, — młody zaś człowiek żywo gestykulował rękami, przeciągając od czasu do czasu delikatne palce po kruczych bujnej czupryny kędziorach.

— Słuchaj mnie, Tadius — mówiła staruszka:— Robisz źle, bardzo źle robisz. Masz dwadzieścia cztery lata, masz utrzymanie porządne... Czemuż ty się nie żenisz? Jak ty wyglądasz! Żebyś ty widział nieboszczyka dziadka w twoim wieku...

— Ależ, babuniu...

— Nie żadne ależ. Twój dziadek, gdy miał dwadzieścia cztery lata, był już od dwóch lat żonaty; a jak wyglądał!... nie tak, jak ty. Z małym zaczął. Mieliśmy w Komisji Wojewódzkiej w Lublinie 800 złp. pensyi, to też ży-

liśmy skromnie: całej parady cztery pokoje, kucharka i popychadło do pokoju... A wy teraz wszystko na tysiące liczycie.

— Babuniu! inne czasy...

— Co mi tam inne czasy! Były czasy złe, były i dobre; ale stare prawdy nigdy nie giną. Wiesz przecie, że rannego wstania i wczesnego ożenienia się nikt nigdy nie żałował; że we dwoje zawsze lepiej żyć, niż samemu.

— Babuniu! nowe prądy, nowe wymagania czasu...

— A dajże mi ty raz pokój z tymi nowymi prądami. Ja tam nowych prądów nie znałam, a, chwała Bogu, żyłam z nieboszczykiem dziadkiem pięćdziesiąt jeden lat, jak obszył. Umarł, biedak, jeszcze młody człowiek. Przecież go sam pamiętasz... co za figura, jaka postawa! Na złotem weselu... pamiętasz?... jeszcze mazura tańczył.

— Proszę babuni, ja w tych latach nogami nie będę mógł włóczyć.

— Co ty mówisz?... w tych latach? 76 lat znowu lata! Nieboszczyk mój ojciec miał dziewięćdziesiąt... zaraz... ile to?... nie pamiętasz?

— Skądże mam, babuniu, pamiętać?

— Bo to u was młodych zawsze taka pamięć. Ja ci każdą minutkę pamiętam. Żebyś się był ożenił, jak ci mówiłam...

Tadzio ukrył lekki uśmiech i, całując w rękę babunię, rzekł:

— Dobrze, babuniu, rozejrzę się trochę wśród panien, zacznę bywać po domach, a po ostateczną radę przyjdę do babuni.

— Co? już odchodzisz? Zaczekajże chwilkę jeszcze. Zaraz dadzą kawę. Twoja nieboszczka matka pasyami kawę lubiła... Przecież, jeżeli masz wybierać towarzystwa, to chyba ja ci najlepiej poradzę. Pójdiesz do kilku domów, które ci wskażę. Czekażże, zaraz...

Nim wszakże sędziwa matrona przywiodła sobie na pamięć domy, w których chciałyby widzieć swego wnuczka, otworzyły się drzwi od przyległego pokoju i lokaj w skromnej liberyi trzęsącym się od starości głosem oznajmił, że kawa już podana.

Matrona sama naląła filiżankę wonnego płynu, nałożyła taką moc kożuszków, jakby kawa miała jechać do bieguna północnego, i, podając ją Tadziowi, mówiła:

— Czy wy to taką kawę pijacie w cukierniach? Żebyś się był ożenił, jak ci mówiłam, miałbyś co dzień taką; a tak tylko kiedyniekiedy u babki się napijesz porządnej kawy.

Po skończonej kawie Tadzio wymówił się jakimś nagłym interesem i, ucałowawszy babu-

nię w ręce, odszedł, przyrzekając, że się do woli jej zastosuje.

Tadzio, jak rzekliśmy, miał dopiero lat dwadzieścia cztery, był przystojny i niezspsuty, zajmował skromną posadę, ale też biednym nie był. Ani się upędał za życiem wesołym, ani go też unikał. Był to typ dobrego chłopca, o sercu pocziwem, zdrowym rozsądku i pewnej dozie rozwagi, dość rzadkiej w młodym wieku.

Wyszędłszy od babuni, Tadzio skierował się w jedną z bocznych ulic i w myśli monologował:

— A może babunia ma rację? A gdyby się ożenić? Podobno szach perski, obecny na jakimś jubileuszu pięćdziesięcioletniego życia pary małżeńskiej, powiedział: „Kto wie, czy nie lepiej przeżyć z jedną żoną lat pięćdziesiąt, niż mieć ich wiele od razu.“ Tylko, że trzeba zastanowienia.

ROZDZIAŁ II.

Pan Prosper gorącą wyobraźnię Tadzia oblewa zimną wodą.

— A ty tam co mrużysz pod nosem?— zagadnął Tadzia dobrze podtatusiały jegomość, ubrany bez zarzutu.

— Ach! to pan Prosper! Witam pana.

— A no, ja. Skądże idziesz? Założyłbym się, żeś był u babci i że wysłuchałeś kazania.

— Niby to tak było w istocie.

— Za co? Czy za to, że nie nosisz chustki fularowej na szyi, jak twój nieboszczyk dziadek? czy też, że przychodzisz późno do domu, gdy tymczasem twój nieboszczyk dziadek regularnie o wpół do dziesiątej już kładł się spać?... Bo o Józci chyba babcia nic nie wie?

— A, gdzie tam! Babunia wypowiedziała mi ostrą wymówkę, że się dotąd nie żenię.

— A ty?—zapytał z ciekawością pan Prosper.

— Ja? Przyrzekłem babuni, że się nad tem zastanowię, że zacznę bywać w domach, poznam jaką ładną i rozumną panienkę...

— I co?

— Później...

— Ożenisz się — szepnął napół drwiąco, napół boleśnie pan Prosper.—O, tak, ożeń się, zespól część twej duszy z istotą tak ci nieznaną, jak czwarty wymiar przestrzeni. Wtłocz w nią duszę i serce, błąkaj się po omacku życie całe, gdzie twym przewodnikiem będzie jedynie pogodny uśmiech twej towarzyszki, w którym możesz wyczytać wszystkie gamy uczuć, od palącego szyderstwa do mdłej litości. Żeń się, stąpaj bosą nogą na ścieżkę, prze-

plataną ostrymi cierniami niepewności i żarzącym węglem bolesnych zawodów, gdzie jedynym przewodnikiem będzie ci drobna ręka, zbrojna w paznokcie pantery, która zawiedzie cię tam, gdzie zechce. Żeń się, stwórz sobie to życie pełne boleści i rozczarowań,) a potem, kiedyś, konając, będziesz się wił z bólu, że twoi synowie pójdą tą drogą, po której ty postępowałeś...

Zdziwił się Tadzio niepomierne tym wynurzeniom pana Prospera. Człowiek zresztą taki zimny i taki spokojny zwykle!

— Chcesz wybierać — mówił, zapalając się, pan Prosper, — chodź ze mną w aleje. Wieczór pyszny, pełno powozów, pełno pieszych. Patrz tylko, co to za bogactwo do obserwacyi. Widzisz ten powóz wykwintny, konie gniade? Piękna jak anioł kobieta, on niby zdolny człowiek; ona patrzy w lewo, on na prawo; dla siebie nie mają ani jednego spojrzenia... Co chcesz... już rok z sobą żyją... Znudzili się sobą. Jego gabinet od jej buduaru dzieli dwanaście pokoi. Och! gdybyż się nie pożenili! On byłby pracował dzielnie, ona błyszczałaby wśród świata, swobodna, szczęśliwa. A dziś, zdaje się... dwa żółwie, zamknięte w jednej szyldkretowej sko-

rupie. Podobno złoto im cięży. O! o! patrz, jak obok tego satyra starego płonie rumieńcem gniewu śliczna kobieta, bo na nią oczy ludzkie zwrócone, bo każdy lituje się nad nią. A tutaj... Obok opasłej ropuchy dzielny ma wygląd mężczyzna; spuszcza oczy, aby nie widzieć ironii, jaka się przebija na twarzach przechodniów. Spojrzyj dalej... Koło tej kobieciny sunie się kilkoro drobiazgu, chciwie spoglądającego na dorózkę lub tramwaj. Biedactwa nożęta bolą, a tu do domu daleko jeszcze, a w domu bodaj czy po kajzerce dla każdego wystarczy. Czemuż się pobrali za młodu? Czemu na tych twarzach młodych zwiędłe swe piętno wycisnęła nędza? O, tak, żeń się, *żeń*; pływ wśród skał życia na wątlej łódce uroku ogniska domowego. Ominiesz hańbę, znajdziesz upokorzenie; ominiesz zawód, znajdziesz ból piekący. Nie, lepiej powieś się i daj mi spokój święty!...

Z temi słowy pan Prosper wmieszał się w tłum i zginął z przed oczu Tadziewi, który stał, potrącany przez przechodniów, zaledwie mogąc skupić myśli.

— Ha! — rzekł do siebie — i on ma rację. Komuż tu wierzyć? Trzeba to zbadać. Chociaż, nie wiem... W słowach tego dziwaka brzmiało

tyle goryczy i prawdy, że przemawiały do rozumu równie wymownie, jak słowa babuni do serca.

ROZDZIAŁ III.

Tadzia budzi z zamyślenia parasolka. — Poglądy kobiet na mikroskop i jurysprudencję.

— Bardzo ładnie, panie Tadeuszu! — zaszczebiotała jakaś młoda osóbką, dotykając z lekka ramienia Tadzia parasolką. — Przeszło godzinę kłaniamy się z mamą panu, a pan nic nie widzi. Ani słowa, bardzo grzecznie!

Ów szczebiot płynął z rozkosznie uśmiechniętych ust młodej blondyneczki, prowadzącej pod rękę damę, oddychającą śpiesznie a głęboko, z powodu znużenia, i odzianą w paltot aksamitny nieprawdopodobnych rozmiarów.

Ocknął się Tadzio z zadumy, a całując rękę poważnej damy, jąkał coś w rodzaju usprawiedliwienia swej nieuwagi.

Dama była wyrozumiała, przerywanym przez krótki ale głęboki oddech głosem mówiła:

— Niema za co, niema za co. Cóż dziwnego? Zakochany, szukasz pan kogoś, czy też czekasz? No, przyznaj się pan.

— Ależ, słowo daję pani prezesowej...

— O, znam ja te słowa! Ja tam swojemu mężowi raz na zawsze zabroniłam dawać słowa. Przynajmniej wiem, że go nigdy nie złamię.

— No, to jak mamę kocham.

— O, tak! wy wszyscy kochacie mamy, jak wam potrzeba pieniędzy. Wierzę w to, bardzo wierzę; dlatego też składam pieniądze w banku i ręczę, że ani Staś ani Ignaś nigdy się nie zaklinają: jak mamę kocham...

Ładna blondyneczka miała minę trochę zmartwioną i zakłopotaną, ośmieliła się jednak przerwać matce:

— Dlaczegoż mama panu Tadeuszowi nie wierzy?

— Cóż to znowu za opieka nad panem Tadeuszem?

Dziewczyna zarumieniła się.

— Chodźmy już do domu—mówiła dalej dama.—Jeżeli pan Tadeusz mówił prawdę, to niech nam da jej dowody i odprowadzi.

Tadzio nie miał nic przeciw temu. Bywał tam dość często, gdyż, bez względu na utyskiwania babuni, bardzo chętnie wpatrywał się w niebieskie oczy Anielki.

Dziś wszakże zadziwił ją bardzo. Zamiast sięść, jak zwykle, przy fortepianie, zamiast

oczekiwać wypadkowego samnasam, Tadzio całą swą uwagę zwrócił na rodziców, chciwie chwycił każdy wyraz delikatnej, lecz zato ustawicznej ich sprzeczki małżeńskiej.

Studyował małżeństwo.

Łagodnego usposobienia prezes zajmował go szczególnie.

Dostojnik ten, otwierając drzwi żonie, zapytał ją życzliwie:

— Wróciliście już?... A, to dobrze. Herbata podana.

— Któż ci kazał podawać herbatę?

— Myślałem...

— Ty wiecznie tylko myślisz. No, chodźmyż, proszę, na tę herbatę.

Zasiedli koło stołu. Okazało się, że herbata przeciągnęła, sucharki nie te z lewej szafki, na śmietance jakiś pyłek i masę innych wad wykryła dama w zastawie stołowej.

Zafrasowany prezes sięgnął ręką po garnuszek ze śmietanką, chcąc takowej wlać do filiżanki.

— Cóż znowu!—zawołała prezesowa.—Co ci po tej śmietance? Dziecko jesteś, czy panienka? Wlej sobie parę łyżeczek araku i panu Tadeuszowi także.

— Kiedy to dzisiaj gorąco.

— Tobie zawsze gorąco. Drugą filiżankę możesz wypić ze śmietanką.

Prezes miał widać jakiś ważny interes, bo do herbaty wlał dosyć sporo araku, snać dla nabrania odwagi, i wyrzekł:

— Wiesz, Sabciu, spotkałem profesora...

— Ty zawsze musisz kogoś spotkać! Zamiast wracać wprost z biura do domu, musisz się z kimś spotkać. Wybierz sobie raz z głowy te spotkania.

— Profesor prosił na wiścika, więc przyrzekłem.

— Ty zawsze przyrzekasz. Przecież dlatego, że przyrzekłeś, nie mogę powiedzieć panu Tadeuszowi, że męża niema w domu... Napisz mi zaraz do profesora, że wyjść nie możesz i czekasz u siebie z wistem.

Prezes przełknął duszkiem herbatę i wybiegł do gabinetu. Po chwili wrócił do pokoju z bilecikiem w ręku.

— Napisałem, duszko. Może przeczytasz?

— Cóż tak pilnego? Mogłeś napisać po herbacie. Cóż tam znowu napisał?

Prezes zaczął czytać:

„Kochany Doktorze! Lekka niedyspozycja nie pozwala mi zadosyć uczynić przyrzeczeniu. Zrób mi jednak łaskę i przyjdź do

mnie na wiścika, o co Cię też i żona moja uprzejmie prosi. Twój...“

— Cóż tu znowu robi żona?—przerwała prezesowa.—Pomyślałby kto, że ja ci dyktuję lub rozkazuję.

— To przepiszę, duszko.

— Po co masz przepisywać?... Dosyć masz tych papierów w biurze. Odeślij tak, jak jest.

Tymczasem Tadzio ledwie półsłówkami odpowiadał Anielce, ta zaś z swojej strony była jakaś roztargniona, czy rozgniewana.

Nie uszło to uwagi pani prezesowej, bo zaraz zwróciła się do Tadzia.

— Widzisz pan, panie Tadeuszu — mówiła,—jakie to ciężkie obowiązki żony. Ja już przyzwyczaiałam się do tego; ale, wierz mi pan, słuchać ciągłego gderania męża, ustawicznie postępować według woli jego, być ślepą wykonawczynią jego myśli... to ciężko, bardzo ciężko!

Tadziowi zdawało się, że śni jakiś sen dziwny, a prezesowa opowiadała mu ciągle o tem, jak to poświęcają się żony.

Zbiegła na tej prelekcyi spora ilość czasu. Odezwał się u drzwi dzwonek. Zjawił się poważny doktor z poważniejszą jeszcze magnifiką, niezadługo przyszedł uczony profesor i stary sędzia, również z żonami.

Wiścik był skompletowany.

Nawiasem mówiąc, prezes dostał admonicyę, dlaczego stolik do wista kazał ustawić w gabinecie, nie zaś w saloniku; a gdy kazał lokajowi przenieść takowy do saloniku, prezesowa powiedziała mu, że nie potrzeba wcale tych przenosin i że mogą panowie grać, gdzie im się podoba.

Kiedy czterej mężowie zasiedli do ulubionego wiścika, a Tadzio i Anielka zajęli się jakąś rozmową bardzo poważną — nie wiem, o czym... o nutach, czy może o zbliżającej się jesieni,—cztery matrony złożyły wiec niewieści, z którego co nieco podchwytywał Tadzio chciwie uchem.

— Bo wystawcie sobie panie — mówiła profesorowa, — co ten mój dziwak wyprawia. Ciągłe mu w głowie bakterye. Wczoraj do obiadu przyszedł z mikroskopem.

— Nie może być!—odezwały się panie chórem.

— Kazałam zaraz Katarzynie zabrać te wszystkie mikroskopy. Porwał się jak szalony, że mu soczewki się potłuką. Ale mu powiedziałam: Ja się do twoich soczewek nie wtrącam, ale dlaczegóż ma zupa stygnąć?

— Ale, pani droga — przerwała doktorowa,—to jeszcze choć mikroskopy; ale mój pan chciał mi sterylizować mleko, bo dzieci piją

mleko na śniadanie. Wicie panie, wpadłam w pasyę i kazałam mu sterylizować swoje piwo.

— Ale! dobrze, że mi pani przypomniała. Oni tam grają w wista, a ja o piwie całkiem zapomniałam. Przecież tak nie mogą grać.

To mówiąc, prezesowa wybiegła, by wydać odpowiednią dyspozycję.

Tymczasem sędzina opowiadała, że mąż jej jest niecznośny. Gdy wróci z biura i zje obiad, zaraz się bierze do pracy, a wieczorem zaczyna jej opowiadać o jakiejś jurysprudencji.

— No, ale ja zawsze dam sobie radę i zawsze wyprowadzę go albo do teatru, albo z wizytą; niech się trochę rozerwie.

Wieczór ów upłynął jak wszystkie wieczory. Skończyły się utyskiwania pań na mężów dyplomatów, tyranów, skończył się rober jeden i drugi, podano lekką zakąskę, przeplatana rozmową, i o patryarchalnej godzinie rozeszły się zgodne małżeństwa.

Odszedł i Tadzio zamyślony.

Anielcia, smutna jakaś, zapytała matki:

— Co mu się dziś stało? Jakiś zamyślony, małomowny...

— To nic, moje dziecko; zwyczajnie jak młody. Ale ja tu marudzę, a trzeba zakończyć, czy ojciec ma ziółka gotowe.

V 15
M. B. SZK
sekeya
*Czytelnia

Tymczasem Tadzio szedł z pochyloną głową przez ulicę i myślał:

— A jednak babcia prawdę mówi. We dwoje lepiej, niż jednemu. Gdyby prezes rządził się swoją wolą, utonąłby w odmęcie wista. Gdyby profesor oddał się całkiem swym badaniom naukowym, nie miałby okrągłej figury i tego zadowolenia na twarzy, jakie daje dobrobyt. Gdyby doktor swą głęboką naukę zastosował do kuchni, nie zjadłby nigdy porządnego obiadu. Gdyby sędzia nie chodził do teatru, nie szukał rozrywek, spleśniałby jak stary pargamin. Energiczne to kobiety, paradne ze swemi tyradami na tyraństwo mężów, ale kobiety dobre i zacne. Pantofle, no, tak, pantofle; ale dobrze im z tem wszystkim, nie ma co! A może to tylko starsza generacja? Może młodzi inaczej żyją? Popatrzmy dalej. A i to jeszcze prawda: ci ludzie żyją dla społeczeństwa, dla nauki, dla pracy... I jakże im kłaść na barki ciężar życia domowego? Ma rację babunia, dalibóg, ma rację.

Tak monologując, Tadzio zobaczył przed sobą szklane drzwi restauracyi.

— Możeby wypić kufelek? — pomyślał. — Potem żona nie pozwoli.

I wszedł do knajpki.

ROZDZIAŁ IV.

Osobliwy dziennikarz, którego żona stawia do kąta.

W sali, przy stoliku, spotkał kolegę z uniwersytetu, starszego nieco i zarabiającego piórem na kawałek chleba. Kolega był żonaty.

Tadzio, zbudowany na wzorach prezesa, doktora, profesora i sędziego, Tadzio, który już w duchu marzył o pantofelku Anielci, że ten kark mu przygniata, odczuł pewnego rodzaju oburzenie.

— Jakto! — zawołał do kolegi — to ty po knajpach przesiadujesz, a żona sama w domu?

— Zwaryowałeś chyba, Tadziu—odrzekł kolega.—Co ty wygadujesz?

— To, co powiedziałem. Powinieneś siedzieć w domu.

— Nie mam zwyczaju rozmawiać z waryantami, ale dla ciebie zrobię wyjątek. Otóż wiedz, że, jako dziennikarz, muszę bywać w teatrze; z teatru wracając, muszę porozmawiać to z tym, to z owym; później dopiero mogę wrócić do domu na kolację. Jest to bardzo wesoła chwila, weselsza niż obiad, którego zjeść nie mam czasu zwykle. Zamiast więc marudzić, chodź ze mną.

— O tej porze?

— O jakiejże chciałeś? Powiadam ci, że, cały dzień pracując, innej znaleźć nie mogę. Chyba czasem w niedzielę lub święto.

Do mieszkania dziennikarza było nie daleko—zaszli też szybko.

Gospodarz zastukał do drzwi.

Drzwi uchylły się i w progu stanęła młoda kobiecina, o niezmiernie miłym wyrazie twarzy.

— Cóż to mój pan tak późno?

— Widać, że imość zegar posunęła.

Młoda kobiecinka spostrzegła w tej chwili Tadzia. Zażenowana nieco, poprawiła na ramię chusteczkę, ściągając ją pod szyję, i grzecznie, z godnością prosiła, aby wszedł dalej.

Tadzio szybko rzucił okiem po mieszkanku. Schludnie tu było, czyściutko, ale więcej niż skromnie.

Na ścianie tylko kilka obrazków i szkiców artystycznych, fortepianik maleńki, szafka z książkami i biurko, zarzucone dziennikami, świadczyły o pewnym dobrobycie mieszkańców.

W kącie stał samowarek, oczyszczony jak złoto, na stole kilka szklanek i przybory do herbaty.

Henio — tak się nazywał gospodarz — posadził Tadzia przy stole, a zwracając się do żony, rzekł:

— Pokłoń się, niewiasto, do kolan panu Tadeuszowi... niech nie gardzi naszą strawą.

A zgrabna kobiecinka pochwyciła męża za ramię i głowę, i w komiczny sposób zgięła go aż do kolan Tadzia.

— To ty kłaniaj się do kolan, a statecznym białogłowom daj pokój.

Tadzio rozśmiał się szczerze.

Po kilku minutach Tadzio był tu już jak u siebie. Młoda kobiecina opowiadała mu, jak są szczęśliwi,—tylko cała bieda, że Henio zaraz po obiedzie idzie spać. Prawie wcale go nie widuje.

— Zmarniałbym przy takiej jędzy — broił się Henio.

— Cicho, ty obrzydliwcze! — woła kobiecinka—bo do kąta postawię.

I tak bawiły się te dzieciaki dorosłe, tak im było dobrze i szczęśliwie.

Nie zważając na Tadzia, opowiadali sobie, że Henio musi jeszcze dziś pisać kilka godzin i że milutka kobiecinka musi iść jutro za Żelazną-Bramę.

— Tylko—dodała z westchnieniem — nie wiem, czy mi wystarczy tych dwóch rubli, coś mi dał onegdaj. Chciałam kupić ze dwie kaczkę.

Henio, zrzedząc na rozrzutność kobiecą, wyjął z portmonetki rubla, czem tak ucieszył młodą kobiecinę, że, nie zważając na Tadzia, rzuciła się Heniowi na szyję, mówiąc:

— Jakiś ty dobry! Ale czy tobie nie zbraknie?

Serdecznie żegnany, wyszedł Tadzio.

Wróciwszy do domu, rozmyślał, jaką to babunia ma świętą rację. Twarzyczka Anielki uśmiechała mu się.

— Ho! ho! ho! ja i Anielka! jakie to zabawne!...

ROZDZIAŁ V.

Teorya kupca o kasyerstwie.—Zabawne opowiadanie lekarza.

Nazajutrz Tadzio prowadził dalsze poszukiwania.

W porze przedobiedniej wszedł do znajomego kupca.

Nizki, dosyć otyły człowieczek wydawał dyspozycje subiektem, za kantorkiem zaś siedziała młoda kobieta, notując w księgach jakieś rachunki.

Gdy Tadzio ukłonił się, kupiec wybiegł z za kontuaru i przywitał go serdecznie:

— A godzi się to, panie Tadeuszu, tak zapominać o starych znajomych? Kopeć lat, kopeć lat!...

— To prawda, panie Tadeuszu—odezwiała się kobieta z za kantorka.—Myśleliśmy nieraz z Jasiem, żeś pan wyjechał do Brazylii.

— Najprędzej, moja Malwineczko, uwija się wśród panien. Trudna rada!... Nasze córki nie dorosłe jeszcze, więc go nie obchodzą.

Jakby na potwierdzenie słów kupca, z krzykiem i hałasem, ze drzwi, wiodących ze sklepu do mieszkania, wbiegło czworo dzieciaków, czyściutkich i zdrowych. Były to dzieci kupca. Najmniejsza ledwie zdążyła za niemi, tocząc się na tłustych nożynkach i wrzeszcząc: Mamol figi Isi!—co miało znaczyć: Niech mama da figi Bronisi.

— Proście, Malwińciu, pana Tadeusza do pokoju. Dzieci, do pokoju, bo was powsadzam do beczki po śledziach.

— Hu! hu! hu! — krzyknęły dzieci, udając trwozę, i pędem pobiegły przed matką i Tadeuszem.

— Przy robocie zastałeś nas pan, panie Tadeuszu. O, bo trzeba pracować, bardzo potrzeba. Zatopiona byłam w rachunkach.

— Więc pani je sama prowadzi?

— Cóż robić, kochany panie? Konkurencya... O małośmy się nie zachwiali w interesach. A trzeba się liczyć skrupulatnie... dzieciaki dorastają...

Nadszedł i pan Jan niebawem, a całując żonę w rękę, rzekł:

— Dajże nam co zakąsić, moja kasyerko. Bo to, widzi pan, moja kasyerka; a niema lepszego kasyera, jak żona.

— No, no, tylko bez tych pochwał. Gdyby nie twoja praca i zdolności handlowe, ładna byłaby ze mnie kasyerka przy pustej kasie.

Pożegnawszy kupca, Tadzio wyszedł na ulicę i spotkał się z młodym doktorem.

— A, jak się masz! Wiesz co, wracam od chorego. Jeszcze się trzęsę ze śmiechu. Jak żyję, nie miałem podobnej konsultacyi.

— Cóż takiego? Klepki komu wstawiałeś w głowę, czyś amputował język starej pannie?

— Ale, gdzie tam! Zwykły *tumor albus*. Trzeba było przeciąć. Poprosiłem o wodę do operacyi, przygotowałem bistury, sondkę i bandaż. Chcę ciąć, a żona chorego, kobieta inteligentna, grzecznie ale stanowczo odebrała mi bistur, mówiąc: „Proszę pokazać, gdzie przeciąć i jak głęboko. Ja przetnę... Mniej go będzie bolało.“ „Tak, tak, doktorze, niech ona prze-

tnie," szepnął chory. Cóż miałem robić? Nakreśliłem kierunek cięcia, pokazałem, jak głęboko zapuścić bistur, i dzielna kobieta w mgnieniu oka zrobiła cięcie. Ledwie że mi pozwolili założyć sondę i zrobić opatrunek. Przy zakładaniu opatrunku zapytałem chorego, czy operacya była bolesna. Chory uśmiechnął się i z poza zaciśniętych zębów wycedził: „Bynajmniej!“ Operatorka odeszła od łóżka i w kąciaku ocierała łzy. Dzielna kobieta! Ale bądź zdrow! Idę na poważniejszą operacyę.

— Ha! — pomyślał Tadzio — mam już dosyć tych obserwacyi. Babunia prawdę mówi: Kobiety mają serca, mają siłę woli; życie we dwoje znośniejsze, niż pojedynczo. Opowiem swoje wrażenia babuni. Co mi też ten Prosper naplótł!

II.

MAŁŻEŃSTWA NIEDOBRANE.

ROZDZIAŁ VI.

**Poglądy pani Laury na obowiązki męża.—Kilka słów o pa-
tryarchalnem biurze.**

Wesoło upłynął wieczór Tadziovi. W ogrodzie Botanicznym spotkał prezesowę z Anielcią. Ponieważ prezesowej dokuczał krótki oddech, usiadła na ławce, a młodzi przechadzali się po alejach, ocienionych drzewami, których liście traciły, świeżą barwę zieleni, zastępując ją czerwonymi odblaskami zachodzącego słońca jesieni.

Tadzio był wesoły. Opowiadał Anielce, że, jak te liście opadają z drzew, tak i z jego czaszki opadną włosy wkrótce, że resztki ich pokryje szron.

Anielcia śmiała się serdecznie i radziła mu rozmaite leki na wstrzymanie utraty włosów.

Gdy odprowadził panie do domu, zdecydowany już prawie usłuchać rad babuni, biegł wprost przed siebie napawać się marzeniem w samotności.

— Gdzie idziesz, szaleńcze? — zagabnął go ktoś z nienacka.

Obrócił głowę i ujrzał przed sobą uśmiechniętego ironicznie pana Prospera.

— Założyłbym się, żeś znowu jak waryat błąkał się po alejach, że pewną blondynkę odprowadziłeś do domu, że chcesz na cały wieczór ukryć się przed ludźmi i rozpamiętywać rozmowę, jakąś z nią prowadził. A wiesz co, taki jakiś wesół jestem. Chodź, przejdziemy się razem.

— Szatan! — pomyślał w duchu Tadzio, ale poszedł za swym przewodnikiem.

— Ale, ale! mam zaproszenie na wieczór do mojej kuzynki. Miła osoba! Chodźmy.

I poszedł Tadzio.

W salonie, do którego zaszli, zastali liczne zgromadzenie, złożone przeważnie z kobiet.

Pani domu podała rękę Prosperowi, który, wskazując Tadzia, szepnął:

— Pan Tadeusz Łada.

Pani Laura podała Tadeuszowi delikatną rączkę.

— Miło mi poznać pana. Słyszałam o panu wiele od pana Prospera. Ale niezbyt to serdeczny przyjaciel pański: zdradził przede mną pańską tajemnicę.

— Ja, pani, nie mam żadnych tajemnic.

— Właśnie, że masz pan tajemnicę. Jesteś pan zakochany, ale to jak poeta w księżycu.

— Czyż wzdycham, rozrzucam włosy, mam twarz bladą, lub coś podobnego w tym guście?

— Tego nie mówię. Ale błądasz się pan po alejach jak pustelnik, unikasz pan ludzi... A wiesz pan, że samotność zwykle robi z człowieka albo mędrca, albo waryata?

— Mędrcom nie będę, waryatem każdy jest po trochu. I cóż mi samotność szkodzić może?

— Zacznie panu ciężyc i poszukasz pan towarzystwa... ożenisz się pan.

— *A propos*, kuzyneczko — przerwał Prosper, — gdzie się twój mąż obraca?

— Dajże mi pokój z mężem! Albo ja wiem? Może pracuje w gabinecie, może zasiada w ja-

kiej radzie lub zebraniu. Mól nieznośny, cały dzień oddany pracy. Morały mi kładzie w uszy o oszczędności, o przyszłości... Obrzydzenie z tym człowiekiem! W święta proponuje mi przechadzkę na świeżem powietrzu lub teatr. To niegodziwe, to okropne! Jak można nie rozumieć tak prostej rzeczy, że kobiecie potrzeba zabawy, strojów!... No, sam pan powiedz, panie Tadeuszu.

To mówiąc, piękna kobieta piękniejszą się jeszcze wydawała. Oburzenie wznosiło jej piersi wypukłą, rumieńce na twarz wystąpiły. Czuła się pokrzywdzoną w najistotniejszych swych prawach.

A tymczasem mąż siedział w gabinecie, nad kolumnami cyfr, wysilał mózg w pracy ciężkiej, aby starczyć na stroje i zabawy dla żony. Z salonu doszedł go odgłos ożywionej rozmowy — przytknął drzwi, uśmiechnął się gorzko i zatopił się w kolumnach cyfr, w pracy szukając zapomnienia.

W salonie pani Laury było kilka kobiet młodych i pięknych dosyć. Była hrabina Iza, była pani Leokadya, żona jakiegoś urzędnika z instytucji prywatnej—cały areopag kobiecy.

Szczególniejszą uwagę na Tadzia zwróciła hrabina Iza i wzięła go w swoją opiekę;

a gdy pan Prosper zabawiał damy wybrykami piekącego humoru, rozmawiała z Tadzkiem o rzeczach o tyle poważnych, o ile poważnemi rzeczami zajmować się była zdolną, czyli inaczej mówiąc, niby motyl konwenansu, przelatywała z kwiatka poezyi na kwiatek malarstwa lub innej sztuki.

W ten sposób wieczór zszedł szybko. Przy pożegnaniu hrabina Iza wymogła na Tadzku przyrzeczenie, iż ją odwiedzi, tem bardziej, iż, jak się okazało, Tadzio znał dobrze męża hrabiny Izy.

— Widzisz, Tadzku — mówił na schodach jeszcze Prosper, — co to za przepyszna rzecz małżeństwo. Ten biedny Jacuś, mąż pani Laury, to bardzo zdolny technik, pracuje jak wół. Założyłbym się, że szmer naszej rozmowy dolatywał do drzwi jego gabinetu. Ha, dobrze mu tak! Po co się żenił? Perswadowałem, mówiłem; na moje perswazye odpowiadał mi: „Ty jej nie znasz... to anioł.“ Ładny anioł, ani słowa! O czem tu i mówić zresztą! A ta mała brunetka, pani Leokadya, jak się wystroiła! Mąż bierze pensyi sześćset rubli rocznie, a dziś, licząc z broszką i bransoletą, miała na sobie pewnie z ośmset rubli w atlasach, koronkach, klejnotach. No, tamten przynajmniej się nie zapracowywa. Siedzi zapewne biedaczysko

w knajpie z radości, że mu onegdaj dyrektor przyrzekł podwyżkę pensyi. Nie wystawisz sobie, co to za ucziwy dyrektor!... Wszystko zrobi dla młodszego urzędnika, jeżeli go poprosi jego własna żona; a nie odmówi starszemu urzędnikowi... na prośbę jego żony. Powiadam ci, ojcowski, patryarchalny stosunek, na którym jedynie tracą tacy, co nie są w łaskach u dyrektorowej i nie posiadają żon własnych... ma się rozumieć młodych, no i o ile możliwości ładnych...

— Panie Prosperze — przerwał Tadzio, — przecież to świat zawsze jednaki... Złe było i będzie.

— A najgorszem złem jest małżeństwo. Wszędzie złe ma swoją dobrą stronę, tylko nie w małżeństwie. No, bądź zdrow, Tadzio!

ROZDZIAŁ VII.

W buduarze hrabiny.

W kilka dni potem Tadzio zadzwonił do pięknego apartamentu i polecił lokajowi oddać swój bilet hrabinie.

Hrabina kazała Tadzia prosić natychmiast.

Przystojny i dystyngowany chłopiec zrobił na niej pewne wrażenie.

Spojrzała też machinalnie w zwierciadło, opadła na atlasową otomanę, wychylając z kokieteryą koniec bucika z pod błękitnej sukienki; w rękę książkę trzymała.

Tadzio wszedł do buduaru zmieszany nic co. Wdzięk tej kobiety działał na niego odurzająco.

— Ach, to pan! Jakżem wdzięczna! Nudzę się okropnie!

— To nie podobna, pani.

— Ależ tak jest w istocie. Teatr, podróże, bale... do uprzykrzenia! Nudzę się okropnie, a młodzież...

— Uwielbia panią hrabinę.

— Za moich młodych lat—mówiła hrabina.—Słyszałam, że banalne panienki nazywacie gąskami. Jabym ten epitet chętnie młodzieży ofiarowała. Przyznaj pan sam, że uwielbienia gęsie niezbyt zachwycają.

— Pani hrabina zbyt jesteś surową. Wszak z pośród młodzieży wybrała pani męża.

— Cha! cha! jeżeli młodzieniec jest gęsią, to mąż orłem być powinien. A bywa najwyżej dudkiem. Ale i na panu się zawiodłam, i pan jesteś nudny... jak wszyscy. Mąż, obowiązki... cóż to za nudy! To dobre dla moich ekono-

mowych, które nazywają mężów gołąbkami. Nam, kobietom światowym, wrażeń brak, panie Tadeuszu.

Spojrzała na Tadzia błyskotliwie zielonemi żrenicami, jakby chcąc wyczytać w duszy ładnego chłopca, czy ma pojęcie o wrazeniach, jakich laknie znudzona kobieta.

Lokaj zameldował hrabiego.

Do buduaru wszedł słuszny mężczyzna, ubrany w ekscentryczny garnitur. Hrabia był przystojny, ale miał twarz tak apatyczną, a oczy tak bezmyślne, iż żał brał patrzeć na tę niedołęzną istotę. Obecnie wyraz głębokiego zmartwienia czynił tę twarz tak komiyczną, iż Tadzio nie mógł ukryć uśmiechu.

— Dzień dobry, hrabino! A, i pan Tadeusz! No, Tadeuszu, jak to dobrze, żeś przyszedł. Ale wystaw sobie, co za nieszczęście!...

— Cóż tam znowu?— zapytała hrabina z miną nieskończenie znużoną.

— A to *Griny Boet* po Wiliamie i Sydonii po Jas Brück'u nie staje dziś do startu, gdyż czuje lekką niedyspozycję.

— I to wszystko?— rzekła hrabina.—Mógłbyś mnie, hrabio, nie nudzić swym sportem.

Hrabia spojrzał na żonę i Tadzia oczami człowieka, któremu by powiedziano, że Ocean Atlantycki załwał połowę Europy.

Było w tym wzroku zdumienie, przerażenie, groza, obawa niemal.

— Hrabino—odezwał się, — panią już nie obchodzi! To początki spleen'u.

Hrabinę obchodził w tej chwili Tadzio. Chłopak zrozumiał to dobrze. Zręcznie skorzystawszy z chwili swobodnej, pożegnał znużone hrabiostwo i odszedł, rozmyślając, że pan Prosper miał rację, iż małżeństwo, w najlepszym razie, to ciężar nieznośny, w którym jeżeli nie gorycz troski, to przynajmniej gorycz nudy zabija człowieka na zawsze. W istocie, piękna hrabina Iza budziła w Tadzio wrazenie istoty, umierającej z nudów.

ROZDZIAŁ VIII.

Ballada prozą.

Trapiony niepewnością Tadzio, z duszą rozdartą na dwie połowy, z których jedną zgrzybiałą dłonią głaskała babunia, a drugą w zimnych rękach ścisnął pan Prosper, zajął się czytaniem dzienników. W jakimś pisemku brukowem, na końcu bieżących wiadomości, czytał:

„Chłopiec młody, przystojny, kochał i był kochany. A biedny był okrutnie, tak samo

jak i wybrana jego serca. On szesnaście godzin suwał piórem po papierze, ona szesnaście godzin igielką szepiała gałganki. On się pochylał od siedzenia nad biurkiem, jej oczy poczerwieniały od wysiłku jak u królika.

I tak było każdego dnia, z wyjątkiem niedzieli.

W niedzielę widywali się i jedli serdelki, a czasem i nie jedli serdelków, tylko sobie przysięgali dozgonną miłość.

Raz, w niedzielę, jego spotkała osoba słuszną i otyłą, i spojrzała na niego tak serdecznie, jak niegdyś pani Putyfarowa na Józefa; a że serce męskie niestałe jest, więc niedługo potem nie suwał już po papierze piórem, tylko słusznej damie przysięgał miłość w kościele. Bo przez wiele nocy kołysały go do snu myśli zdradliwe:

Co dzień będziesz najedzony, będziesz ubrany jak lalka, będziesz miał złoty zegarek, parasol i kalosze.

Ożenił się biedak, a ona tam szyla, jak dawniej, po szesnaście godzin dziennie—tylko jej oczy gorzej poczerwieniały i od szycia i od płaczu.

Ale się zawiódł nieborak! Marynieciska—tak się bowiem nazywała jego małżonka—karmiła go i odziewała, ale monety to ani na po-

kazanie, z domu na krok nie puszczała. Dobry mąż — mówiła czule — zawsze winien być obok swej żony.

Był też obok swej żony, aż ona umarła. Wtedy przyszli synowie i wnuki zmarłej, wyrzucili go za drzwi i zabrali mu zegarek i parasol i kalosze.

— Cóż robić? — pomyślał sobie. — Nagi się ożeniłem i nagi owdowiałem. Cała pociecha, że ona tam pozostała na poddaszu na Tamce. Pójdę, będziemy jedli serdelki i przysięgali sobie miłość.

Ale i to biedaka zawiodło, bo jej sprzykrzyło się płakać, szycia było nie wiele, więc się zgodziła do towarzystwa."

Rzucił Tadzio dziennik na ziemię i wyszedł na miasto.

ROZDZIAŁ IX.

Stargany welon.

Przed kościołem przy pryncypalnej ulicy spostrzegł masę karet. Wiedziony ciekawością, przeszedł na drugą stronę ulicy i tu oko w oko spotkał się z panem Prosperem.

— Ach! to ty, kandydacie do małżeństwa! Dobrze, że cię widzę. Chodź, wstąpimy do ko-

ściola. Mam kartę inwitacyjną. Przypatrz się, jaka to zabawna historia te śluby wasze!

Tadzio, posłuszny swemu przewodnikowi, skierował się z Prosperem w stronę kościoła.

— A uważaj dobrze, żebyś się nie dostał pod koła karety; bo chociaż, względnie biorąc, i to nawet lepsze, aniżeli ożenić się, i niejeden z mężów oddałby za to pół życia, gdyby go taki wypadek spotkał na kwadrans przed ślubem, to jednak, pókiś jeszcze wolny, nie byłoby ci bardzo przyjemnie mieć nogi pogruchotane, albo czaszkę rozbitą jak stary garnek.

Rzeczywiście, przed kościołem stało dużo karet, woźnice podjeżdżali zręcznie pod koryncki fronton świątyni, z karet wysiadały panie, młode i starsze, oraz panny, które łatwo było poznać po minkach niezmiernie zaciekawionych. Więcej tam było pięknych tualet, niż pięknych twarzy, ale Tadzio gapił się chętnie wraz z innymi. Porównywał w myśli najpiękniejsze kobiety ze swoją Anielcią, no... i był przekonany, że Anielcia jest o sto procent i piękniejsza i miłsza od wszystkich piękności wziętych razem.

Pan Prosper również się gapił, jak na poczciwego Warszawiaka przystało. Jego atoli nie tyle obchodziła piękność kobiet i ich tua-

let, ile dzieje pożycia małżeńskiego, głośnie lub mniej głośnie, znanych mu osób.

Wskazywał też Tadziewi wzrokiem to jakąś hrabinę, która zużywała na rok sześć tuzinów gorsetów i miliony rękawiczek, — to żonę jakiegoś tuza kolejowego, w sukni z ciężkiej brokateli, ubranej koronkami.

— Biedna kobieta! — mruzczał Prosper — w przeszłym roku umarł jej synek: zaziębił się, idąc do szkoły bez paltocika... Kto to mógł przewidzieć?

Wreszcie, wskazując jakąś pannę w popielatej sukni, zapiętej pod szyję, szepnął coś do ucha Tadziewi, ale chłopiec zarumieniony obrócił wzrok w inną stronę i zaczął oglądać przybranie świątyni.

A pięknie bo też tam było!

Środkową nawę, otoczoną balustradą obitą ponsowym aksamitem, wyścielał dywan jeden olbrzymi, ręcznej roboty, złożony z artystycznie wykończonych kwadratów, obramowany szlakiem greckim w gorących kolorach.

Światła zwieszały się ze stropu świątyni, jaśniały na olbrzymich kandelabrach, przedierały się przez zbitą gęstwinę laurów, mirtów, palm, cyprysów i Bóg wie jakich roślin egzotycznych.

W blasku tym obraz w ołtarzu, pędzla Smuglewicza, tonął niby w obłokach, obrzeżonych złocistym połyskiem zachodzącego słońca. Krzyż czarny hebanowy, z rzeźbą z kości słoniowej, stał nieporuszony, milczący, potężny, ostro odcięty od tła światła, zieleni i jaskrawego kobierca.

W uchylonych drzwiach zakrystyi widać było duchowieństwo, mające asystować ceremonii; potok światła i tu się przedostał i załamywał się w złocistych aparatach, usianych perlami, ślizgał się po fałdach śnieżnej białości atlasu ubiorów kościelnych.

Na chórze zgromadziła się orkiestra i gwarzyła owym dziwnym szmerem niedomówionych tonów, poprzedzającym zwykle wykonanie jakiegoś podniosłego utworu.

Odzywały się to śpiewne skrzypce, to wiolonczela melodyjna, to posępne waltornie, mrukliwe fagoty, roztesknione puzony, jakby badając się wzajem, czy ich odgłosy zleją się w cudowną harmonię.

Ciche szepty podziwu i zachwytu rozlegały się bezustannie.

Z zakrystyi wyglądał co chwila szwajcar w ostentacyjnym stroju, w białych rękawiczkach, z laską o gałce złocistej. Co chwila też spoglądano ku drzwiom wchodowym.

Szepty zaczęły milknąć, zachwył ustępował miejsca znużeniu.

— Już idą! nie, to nie oni!

Nareszcie do kościoła wpadł raczej niż wszedł młody człowiek, z miną, którą można było nazwać najzupełniej komiczną, gdyby nie odcień serdecznego zaambarasowania i rzeczywistego frasunku.

— Co to? co to? — szeptano w tłumie.

— Na honor, to coś jest! — mruknął jakiś szpakowaty gość weselny, spoglądając na zegarek.

Przybyły wpadł do zakrystyi, a po chwili długi rząd duchowieństwa w czarnych płaszczach kierował się boczną nawą ku wyjściu.

— Ach! och! — szmerom podziwu nie było końca. — Niedyspozycya!... Cierpienie!... Kto to wie, co to takiego!... Pyszna niespodzianka!... — i tym podobne wykrzykniki krzyżowały się jak ogień rotowy.

Ciekawsi spoglądali jeszcze ku zakrystyi, ale stamtąd wyszło kilku posługaczy i poczęli światło gasić, usuwać kwiaty, zwijać dywany. Obecni wychodzili z kościoła i przywoływali karety. Wkrótce mrok wieczorny zazierał przez szyby świątyni i napelniał ją poważnym cieniem, wśród którego lampa drżącym światłem błyszczala jak gwiazda wieczorna.

Tadzio, nie mniej od innych zdziwiony, zapytał Prospera, co to było takiego.

Pan Prosper miał zwyczaj, że nie zawsze odpowiadał wprost na pytanie. Tak samo i obecnie rzekł do Tadzia:

— Wiesz co, po takiej pysznej frajdzie mam niekłamaną ochotę napić się wódki, ale zrobię dla ciebie poświęcenie i wstąpię do cukierni na kawę.

Tadzio zrobił minę więcej niż zdziwioną.

— Widzisz—mówił dalej Prosper,—jakiś mędrzec utrzymywał, że najszcześniejszy jest ten, kto się nie urodził, a stróż mu odrzekł na to: „Prawda, ale taki to się ledwie jeden na tysiąc przytrafi.“ Otóż powiedziałbym ci coś podobnego: „Najszcześniejszy, kto się nie żeni!“ Ale taki kawał to się tylko mógł Heniowi przytrafić. Wątpię, żeby mu się stało co złego lub jego narzeczonej, o życie ich jestem spokojny. Ale chodźmy, posłuchajmy, co też ludziska plotą o tym wypadku, bo wątpię, czy jutro Kuryer co o tem napisze.

Cukiernia była prawie vis à vis świątyni. Tam, gdy wszedł Tadzio z Prosperem, wszystkie stoliki już były w obłęzeniu; bieżący wypadek omawiano i komentowano na wszelkie sposoby. Pan Adam, przystojny, lubo nieco łysy kierownik zakładu, zdumiewał się nad

ilością kawy, chłoniętej przez gości; pyzaci chłopcy oblewali się strumieniami potu, biegając z kawą, herbatą i innymi produktami przemysłu cukierniczego.

W cukierni mówiono tylko o zerwanem małżeństwie złotego Henia z panną Wirską.

Złoty Henio był rozrywanym wszędzie, jako syn bajecznie bogatego i wpływowego papy, który, bez względu na pochodzenie i brak krwi błękitnej w żyłach, dorobił się milionowego majątku na przedsiębiorstwach kolejowych, co mu nie przeszkadzało używać renowy zacnego człowieka i być perłą inteligencji miejscowej.

Henio żył sobie, jak tylko żyć można, mając niewyczerpane źródło bogactw. Panna Wirska posiadała urodę niebywałą, rzadką, wyjątkową, ale też i dumę niepomierną, a może i serce zajęte. Henio poznał ją, zapłonął miłością, i oświadczywszy się, dostał odkosza, — ale go to nie odstraszyło bynajmniej. Różni tam różnie o jego sukcesach późniejszych mówili, dość, że termin ślubu odkładano od czasu do czasu, wreszcie pysznie litografowane karty obwieściły wybranemu światu, że dnia x miesiąca x , o godzinie 4-ej po południu, nastąpi uroczystość zaślubin Henia z panną Wirską. I oto nadszedł dzień x miesiąca x , minęła na-

znaczona godzina, a obrzędu zaślubin, jak widzimy, nie było.

O tym wypadku rozmawiano w cukierni. Ktoś zaręczał słowem honoru, że widział się z doktorem, który wracał od Wirskiej i robił minę bardzo wątpliwą; inny twierdził, że Henio dostał krwotoku, czy też nogę zwichnął; inny znowu—że papa Henia nie mógł się zdecydować na akceptacyę posagu panny.

Prosper filozofował:

— Gdybym, uważasz, Tadius, wierzył w czary, sądziłbym, że dobra wróżka wzięła go za rękę i odwiodła od kroku, który jest moralno-społeczno-cywilnem samobójstwem mężczyzny. Gdybym nie wiedział, jak ten szalapat był zakochany w swym ideale, myślałbym, że się spil jak nie boskie stworzenie. Nie, to jest coś innego. Chyba...

— Chyba co?—podchwycił Tazio.

— Chyba, że w Wirskiej odezwała się duma szlachetna, iskra tłumiona w pożar wybuchnęła. Ale czy to podobne na kobietę średnio zamożną? Miałyby odrzucić bogactwo dla idealu? Nie, to nieprawdziwe, nieprawdopodobne! Chodź, chłopcze, pójdziemy na wino. Nie rozwiążę tej zagadki.

Gdy się wybierali już wychodzić, do cukierni wszedł mały człowieczek w złotych oku-

larach. Spostrzegłszy Prospera, przywitał go przyjacielsko:

— Jak się masz, Prosperku! Kopecz lat cię nie widziałem.

— Bo też ciebie widzieć — odparł Prosper — to jest więcej niż sztuka. Nie wylazisz nigdy z tych twoich znajomości; jadasz śniadania, obiady, kolacye, pijesz herbatę tylko w kółkach familijnych; dobrze, że choć sypiasz w domu; i to cud, że znalazłeś do cukierni.

— Bo, widzisz, jestem wzburzony, ale to co się nazywa wzburzony. Przyszedłem ochłodzić trochę.

— To się napij koniaku.

— O! o! o! koniaku! Chcesz, żebym dostał apopleksyi? Napiję się — mówił flegmatyczny człowieczek — orszady z wodą oranżową. To wybornie uspokaja. Żebyś zawsze pił orszadę, nie byłbyś taki zgryźliwy. Ale te twoje koniaki...

— Ale cóż cię tak wzburzyło?

— Wystaw sobie... Wirska. Przychodzę do nich dzisiaj, jako stary przyjaciel, złożyć wizytę i ofiarować mały upominek... udało mi się znaleźć śliczny wachlarz z malowidłami Watteau...

— No i cóż?

— Wchodzę... zastaję Wirską z siostrą i Henia. Wystaw sobie, co ta dziewczyna wyprawiała!...

— No, cóż takiego?

— A no, nic. Zdjęła z głowy ślubny welon, potargała, ale to, powiadam ci, na strzępki, ot, na takie strzępki, i rzuciła pod nogi narzeczonemu. A co ona mówiła, co ona mówiła!... „Chciałeś pan posiąść serce tak, jak pan zdobywasz tuzinkowe wdzięki... złotymi pieniędzmi? Nie, Wirska sercem frymarczyć nie umie! Zrywałam, odmawiałam... Dokuczaliście mi, chcieliście zmusić do małżeństwa!... Ale to ze mną sprawa! Tam teraz w kościele setki próżniaków, szerszeni społecznych, zgromadziło się na widowisko! Kto otrąbił pański tryumf? Masz w zamian! Zobaczą skandal, a po nim nie zechcesz już pan jeszcze raz szczęścia próbować. Żegnam pana!... Ach! żebyś wiedział, jaka ona była piękna wtedy!... tylko zanadto wzburzona. Żeby była wypila szklanekę orszady...

— A dasz-że ty raz spokój z tą twoją orszadą? Bądź zdrow! Chodź, Tadziu!

— Gdzie się tak śpieszysz? — wołał flegmatyczny człowieczek.

Prosper był już na trotuarze.

— A!—rzekl wreszcie—taką kobietę znaleźć!... Ale to się trafia tylko takim pustym duszom, jak Henio! Bądź zdrow! Nie mam już wcale ochoty ani na piwo, ani na gawędę z takimi jak ty waryatami.

Tadzio uściskał w milczeniu rękę Prospera i odszedł zamyślony.

ROZDZIAŁ X.

Żywy nieboszczyk.

Nasz bohater na ulicy spotkał młodą kobietę, prowadzącą za rękę dziecko może trzyletnie.

Dziwny to był kontrast kobiety pełnej sił i życia i tej dzieciny na krzywych nóżkach, woskowo bladej, z oczyma zamglonemi. Jakaś litość przeniknęła do poczciwej duszy chłopca, gdy kobieta ze smutnym uśmiechem zawołała do niego:

— Panie Tadeuszu! Co się z panem dzieje? Tyle lat pana nie widziałam!

— Ach! przepraszam panią! — kłaniając się, mówił Tadzio.—Ależ to prawda... tyle lat!...

— A widzisz pan. Za mąż już wyszłam... Och, weź pan moją Zosię na rękę. Odwiedź nas pan... poznasz pan mego męża.

Tadzio schylił się ku wątłej istocie, podał jej rękę — dziecina padła w nie, przytuliła ogromną stosunkowo głowę do jego ramienia i zasnęła.

Gdy doszli do domu, drzwi otworzyła im służąca i odebrała dziecko z rąk Tadeusza.

Z drugiego pokoju dolatywał głos: „Zamykajcie drzwi! Cug nieznośny! oj! oj!...”

— Miciu, gdzieś tak długo bawiła? Już szósta... jeszcze nie piłem bulionu, a o ósmej muszę pić kefir... Nic nie dbacie o moje zdrowie!

— Zaraz, zaraz! będziesz miał wszystko. Chodź-no tu... Przyszedł stary znajomy, pan Tadeusz.

We drzwiach ukazał się człowiek, a raczej podobieństwo człowieka — szkielet, pokryty skórą żółtą, o czaszce lysej jak kość słoniowa.

— Ach! to pan, panie Tadeuszu!

— Na Boga! a z panem co się stało?

— Katar żołądka, uważasz pan, no, i reumatyzm przytem, a oprócz tego newralgia i wątroba. Wróciłem z Buska... nie wiele mi pomogło...

Gdy Matylda wyszła z pokoju do kuchni, Tadzio zapytał chorego:

— I kiedyż to się wszystko stało? Wprawdzie dość dawno pana nie widziałem...

— Stare to, stare grzechy! Żyło się burzliwie... no, wkońcu ożeniłem się... teraz wszystko wylazło... Aj! czy pan nie czujesz przeciągu?...

Za chwilę Matylda wróciła z bulionem, do którego chory się zabrał.

Tadziowi serce ścisnęło się na widok tej siostry miłosierdzia, czuwającej nad żyjącym trupem. Pożegnał się prędko.

Matylda, ściskając go za rękę, mówiła po cichu:

— Dobra noc, drogi panie Tadeuszu! A odwiedź nas pan czasem. Ja zwykle cały dzień przesiaduję przy moim biedaku... Dobra noc, mój drogi panie Tadeuszu!

III.

MAŁŻEŃSTWA DYPLOMOWANE.

ROZDZIAŁ XI.

Przegrana partya.—Kurczęta i przesady.

— Dobra noc, mój drogi panie Tadeuszu!—
huczało Tadeuszowi w mózgu.

Czarne źrenice biednej kobiety migały mu przed oczyma, niby gwiazdy, co lada chwila z błękitów spaść mają i zniknąć kędyś w nicości, własnym strawione żarem.

— Biedna kobieta, biedna! — myślał Tadeusz.— Nie, moja babuniu, nie ożenię się za nic w świecie! Albo ja unieszczęśliwię kobietę, albo ona mnie. A zresztą, co tam! młody jestem... Dajmy pokój tym myślom utrapionym! Pójdę lepiej zagrać w bilard, to mnie rozerwie.

Wpadł do cukierni na górkę. Bilard był wolny, ale nie było partnera.

— Ha! — mruknął — wszystko mnie zawodzi! — i zabierał się do odejścia, gdy we drzwiach ukazał się pan Prosper.

— O! jak to dobrze, że cię spotykam! Przepadam za bilardem. Co grasz? Piramidkę, czy kręgielki?

— Niech będą kręgielki. Zaczynamy.

Wystawił się pan Prosper.

Tadzio dotknął z lekka czerwoną. Bila potrafiła o wystawioną, wróciła napowrót i obaliła cztery kręgielki.

— Kijem fuszera! — śmiał się pan Prosper. — Szesnaście złych. No, no, taki gracz! Wiem, że ci się dawno popsuły klepki w głowie; ale żebyś stracił pewność oka i ręki, tego nie myślałem.

— Nie żartuj pan ze mnie — odrzekł Tadzio i kij na bilardzie położył.

— Ja nie żartuję wcale. Zdejmij kij z bilardu! Kraję kwadrę z żółtej na lewo. O! widzisz! Czterdzieści dobrych.

Cyfry zapisywał markier zaspany (jak wiadomo, markierzy przy bilardzie są wiecznie zaspani).

Ma się rozumieć, Tadzio przegrał partycję. Nielitościwy Prosper śmiał się i urągał:

— Co się tobie stało? Grasz dzisiaj jak koza na wiołonczeni. Ale, zapomniałem! Pewno

albo byłeś u babuni, albo piękna blondyneczka poprzekręcała ci myśli w głowie. Żle z tobą, chłopcze, bardzo źle!

— Co ma być źle! Tylko pan grasz jak dyplomowany profesor bilardu.

— Dyplomowany, powiadasz? A bodaj cię! zapomniałem. Muszę śpieszyć do handlu, gdzie na mnie czeka dyplomowane małżeństwo.

— Jakie znowu?

— Słyszysz przecie: dyplomowane. Chodź ze mną.

Wkrótce znaleźli się w gabinecie restauracyjnym.

Łysy i chuderlawy doktor medycyny zjadał befszytk. Młoda jeszcze i powabna kobieta doktor ze znajomością anatomii krajała kurczę pieczone.

Obojętne to było dla kurczęcia, gdy było już upieczone, ale wyglądało okropnie.

Kierowany z wiedzą, właściwą fachowi, nóż, zastępujący skalpel anatomiczny, wyprawiał niepodobne do pojęcia skoki. Zamiast rozdzielić kurczę na cztery części, strzaskał upieczonemu ptakowi kość potyliczną, zgruchotał wielką ilość żeber, złamał kość obojczykową i powyrywał ze stawów przedramiona kończyn górnych.

Trzeba było wprawnego oka kucharki, aby w tym chaosie nadrumienionego mięsa i białych kości poznać kurczę.

Tadzio z natury był trochę złośliwy, bo po przywitaniu z doktorem mężczyzną i doktorem kobietą zapytał tej ostatniej:

— Jakże pani smakuje homar?

Kobieta doktor spojrzała z pobłażaniem na Tadzia i pomyślała: „Idyota! Nie umie rozróżnić ptaka od skorupiaka.“

A Tadzio pośpieszył natychmiast sprostować rzekomą pomyłkę:

— Ach, przepraszam, pomyliłem się. Sądziłem, że to homar, a to prawdopodobnie jesiotr.

— Bardzo mnie to dziwi, że pan dotąd nie znasz kurczęcia.

— Ach! cóż to za nieuwaga! Tak, w istocie, to kurczę. Widzę przecież sałatę.

Pan Prosper uśmiechnął się nieznacznie. Doktor mężczyzna wypił duszkiem szklanekę piwa.

Złośliwy Tadzio prawił dalej:

— Cały mój błąd polega na tem, iż babcia i mama uczyły mnie, że kurczę kraje się na cztery części, tu zaś widzę stos mięsa i kości.

— Darujesz pan, ale nas w uniwersytecie nie uczono krajać kurczą.

— To bardzo dziwne! Nas uczono nawet gotować rosół z kurczęcia... i mogę zapewnić, że daje on moim kolegom wyborne rezultaty w praktyce.

Doktor kobieta dołała sobie maraskina i pobłażliwie rzekła:

— Panowie wiecznie chcielibyście widzieć kobiety z fartuszkim u pasa, zajęte kuchnią. O! nie, panie! Kobieta ma przed sobą cele wyższe. Jedzenie robią mi w restauracyi, a przez ten czas oddaję usługę rodzinom i społeczeństwu, wracam zdrowie jego jednostce, zwalczam choroby.

— Ale radzi pani pożywienie dyetetyczne, o ile możliwości domowe.

— A, mój panie! Co mi tam do tego, czy jedzenie mam zdrowe, czy nie! Od tego są komisye sanitarne.

— No i pomoc pani i jej kolegów, w razie gdy komisye uchybią swym obowiązkom— dodał Tadzio.

— Z przesądami, panie, trudno walczyć. Wybaczą panowie... mam jeszcze jedną chorą na mieście... muszę śpieszyć.

Prosper przez ten czas rozmawiał z doktorem mężczyzną, który też wkrótce wyszedł.

Pozostali z Tadzkiem sami.

ROZDZIAŁ XII.

Historia człowieka, który nie miał domu, tylko stancję z całodziennem utrzymaniem, opałem i światłem.

— A co? — zapytał Prosper — nie pyszny okaz? nie dyplom na gospodynię? O, tak! oddać zdrowie swoje, męża i dzieci pod opiekę komisji sanitarnych... to już znaczy spełnić całe posłannictwo. Żartowałaś trochę z gotowania, ale mniej więcej w ten sposób, dzieje się ze wszystkim. Tam szczęście domowe, ład, troskę nad moralnym rozwojem pokolenia zastępuje dyplom, kuchnia pod opieką teoretycznej komisji sanitarnej, dzieci pod opieką praktycznie zepsutych bon. Ale co tam! na takie drobiazgi jest dyplom! Brak nam jeszcze kobiet inżynierów, profesorów, techników i t. p. Z czasem i do tego przyjdzie. Ale mamy pewną analogię kobiety żony dyplomowanej wśród pań, kierujących zakładami naukowymi. Znałem jednego z takich mężów. I co powiesz? Pił biedak, pił na potęgę, aż go wreszcie śmierć zabrała. Pytałem go nieraz: „Co ty, waryacie, wyprawiasz? Czemu nie siedzisz w domu? Czemu nie szanujesz zdrowia?“ Nic mi nie odpowiadał, tylko nalewał sobie koniaku do szklanki. Raz tylko, jedyny raz w życiu, powiedział mi: „Och! chciałbym posiedzieć w domu choć

chwilkę, choć godzinę... ale cóż!... ja nie mam domu, tylko stancję z całodziennem życiem, opałem i światłem; nie mam żony, tylko srogą przełożoną, cnotliwą do szpiku kości; nie mam dzieci, tylko pensyonarzy, którzy znowu zamiast matki mają przełożoną... Czekaj," mówił dalej, „pójdę, uściskam te moje drobiazgi. A nie zapomnij, przyjdź jutro!... pyszny koniak!" Zachorował. Przyszedłem nazajutrz, ale on już nie przyszedł. Zachorował na zapalenie płuc i nie powstał więcej. Tadius, jeszcze kieliszek likieru i spać idźmy. Dziwnie się czuję znużony.

— No—myślał sobie Tadius,—całe szczęście, że Anielka nie ma dyplomu. Jakoś tam będzie zresztą.

IV.

MAŁŻEŃSTWA CÓR SYONU.

ROZDZIAŁ XIII.

Tadzio porównywa pannę Reginę do biblijnej Judyty i lęka się o utratę głowy.

Punktualnie o godzinie piątej po południu Tadzio zadzwonił do drzwi bankiera Gutgolda.

Drzwi otworzyła służąca, a odebrawszy bilet wizytowy od Tadzia, rzekła z pewnem zakłopotaniem:

— Pan Gutgold nie wrócił jeszcze. Może pan pozwoli... Oddam bilet panie Reginie. Proszę tutaj. Racz się pan zatrzymać chwilkę.

Tadzio wszedł do gabinetu, umeblowanego gustownie, bez krzyczącego przepychu. Zielone biurko, szafki z papierami, szeszlony i kilka foteli stanowiły całe umeblowanie.

Nad biurkiem wisiał portret Montefiorego, o wyrazistej, łagodnej twarzy, w której odbijało się tyle szczęścia i zadowolenia, ile go dać może blisko sto lat życia, spędzonego na sumiennem wypełnianiu swych obowiązków.

Tadzio wpatrywał się w tę twarz sympatyczną, gdy drzwi się uchyliły i weszła do gabinetu panna Regina.

— Przepraszam pana—rzekła,—nazwisko pana nie jest mi obce. Mój ojciec często mi wspominał o pańskim ojcu. Jeżeli panu nic nie przeszkadza zaczekać chwilkę na ojca, to bardzo proszę.

— Jeżeli pani każe...

— O, tylko nie tutaj. Proszę dalej. Ja bym w tem archiwum interesów ludzkich niezdolną była prowadzić rozmowy. Proszę do salonu.

Piękna dziewczyna wskazała Tadziovi pokój przyległy i fotel, który miał zająć.

Uśmiechnął się nieco Tadzio. Spodziewał się ujrzeć salon wyzłocony od gżemsów sufitu do posadzki, niesmaczny, krzyczący,—tymczasem znalazł się w pokoju nader eleganckim, w którym nawet nie poddawał ocenie krytycznej mebli i ozdób, bo uwagę jego zajęły obrazy artystyczne, dzieła sztuki, najnowsze wydawnictwa na stole i pyszny fortepian Erar-

da. Na oknach było mnóstwo kwiatów — nie tych jednakże wspaniałych karłów egzotycznych, imitujących florę podzwrotnikową. Tam uderzała w oczy skromna, ale nadzwyczaj rzadka paproć tatrzańska, kilka odmian róży i nader rzadki okaz storczyka waniliowego, co zazdrośnie kryje się w głębinach borów świętokrzyskich.

Regina w rękę trzymała robótkę wcale prozaiczną—była to bowiem kanwa, na której w profilu rysowały się pantofle.

— Dla męża?—zapytał Tadzio.

— O, nie, panie; to dla papy. Ale skąd przyszło panu na myśl to pytanie?

— Słowo daję... sam nie wiem.

— Może pan masz i rację... może bezmyślnie. Nie macie panowie nic lepszego do roboty, jak tylko prowadzić indagację każdej panny co do jej zamiarów sercowych.

— Wybaczy pani...

— I cóż mam panu wybacząć? Może trochę naganną ciekawość, może chęć niewinnego flirtu, modnego dzisiaj; bo pewną jestem, że nikt z panów nie ma chęci nawet zajrzeć głębiej w serce kobiety, stojącej na przełomie swego losu.

— Więc masz nas pani za takie bezmyślne istoty, ciekawe, próżne i samolubne?

— Nie, lecz wczytywałam się, o ile mogłam, w dzieje kobiety.

— I wyczytałaś tam pani, że u stóp kobiety leżał zawsze świat cały, że kobietom poświęcał wszystkie skarby swe, otaczał je zbytkiem, przepychem, rozkoszą...

— Tak, dodaj pan do tego: i więził pod strażą i kluczem.

— Poświęcał im wszystkie swe uczucia lepsze, oddawał hołd, uwielbienie i szacunek, otaczał je promienną aureolą...

— Dodaj pan jednak, że jednocześnie lubował się jej wdziękami na widowiskach publicznych, odsądzał ją od praw, jej przysługujących, i tworzył z niej niewolnicę w złotych łańcuchach, tylko... że złoto było innego rodzaju, kajdany jednak te same.

— Pani, sceptykiem trochę jestem. Czytałam historię o Judycie biblijnej. Sądzę, że to mit tylko, ale zawiera w sobie prawdę wielką...

— Jaką, panie?

— Że każda z pań jest ową Judytą... Dość porozmawiać chwileczkę, aby narazić się na istotne niebezpieczeństwo utraty głowy.

— Na Boga! tylko mnie pan nie posądzaj o takie zbrodnicze zamiary.

— Miałabyś pani stanowić wyjątek?

— Ależ pan nie wiesz o tem, że chlubię się tem, iż jestem córką mojego ojca i pokolenia mojego. By komuś głowę zabrać, trzeba mu serce zabrać wprzód. Smutne to, panie; ale gdy spojrzę poniżej warstwy, w której żyję, dziwny mnie wstręt ogarnia. Nie mówię panu o wstręcie materyalnym do ciemnoty i niechlujstwa moich współwyznawców, ale o wstręcie moralnym, jaki czuję względem poglądów tej warstwy na życie i jego obowiązki. Za dumną zaś jestem, aby się wdzierać w sfery wyższe. Zresztą, nauczyło mnie smutne mych rówieśnic doświadczenie. Znam hrabiny, baronowe, które w swych złotych salonach tęsknią za patryarchalną uczcą szabasową w domu rodzicielskim, a złamane życiem, karmione szyderstwem, całą siłę do życia czerpią w słowach modlitwy: „Panie, bądź wola Twoja!“

Mówiąc to, Reginka opuściła robotę na kolana, twarzyczka jej rumieńcem zapłonęła. Podniosła ręce nad głowę i splotła drobne paluszki.

Tak musiała wyglądać Jeftego córka, oplakująca swe dziewictwo.

W samą też porę wszedł pan Salomon Gutgold.

ROZDZIAŁ XIV.

Bankier Gutgold delikatnie bada, na co Tadziewi potrzeba 10,000 rubli.—Pan Grossholtz jest smutny.—Tadzio przyrzeka pamiętać o pustelnicy z pośród mchów i paproci.

— Kochanego pana jakże mi miło przywitać! Dawno pana nie widziałem. Zapewne masz pan jakie zlecenie od ojca, bo dotąd, mimo że mam sobie polecone załatwiać pańskie bieżące interesa, nie byłeś pan u mnie nigdy jeszcze.

— W istocie, mam tu list od ojca.

Pan Salomon, przeprosiwszy, że list otwiera, zaczął czytać:

„Szanowny Panie!

„Tadzio potrzebuje znacznej sumy pieniędzy; nie wiem na co, ale podnoszę mu u pana kredyt do 10,000 rubli.

Stary przyjaciel — *Łada.*“

Pan Salomon zastanowił się nad treścią listu. Ojciec nie pyta się, na co synowi tak znacznej sumy potrzeba. Jak on musi mu ufać! Trzeba sprawdzić, czy zasługuje na takie zaufanie.

— Czy panu znaną jest treść listu?

— Najzupełniej nie.

— Ojciec pański życzy sobie... Ale chodźmy do gabinetu.

— Żegnam panią, panno Regino.

— Po co zaraz żegnać się? Wrócimy tu jeszcze... tylko, uważasz pan, interes przede wszystkim. Czekaj na nas, Regińciu.

Tadzio z panem Salomonem wyszli do gabinetu.

— Ojciec pański podnosi panu kredyt do dziesięciu tysięcy rubli. Miałeś pan u mnie kredyt do tysiąca i nigdy pan z niego nie korzystałeś. !Dziwiłem się panu bardzo, szanowałem, ale, wybac mi pan, mam podejrzenie, czy czasem nie wpadłeś pan w jakie sieci lichwiarskie. Powiedz pan szczerze. Ja to załatwię lepiej od pana, bo... bo... widzi pan, stary jestem.

— Do ojca wcale o pieniądze nie pisałem.

— Więc jak pan rozwiązesz tę zagadkę? Coś pan rzeczywiście pisał w ostatnich czasach do ojca?

— Powiem panu prawdę. Pisałem, że mam zamiar się żenić.

— A! rozumiem teraz. Czy pan każe sobie zaraz wypłacić pieniądze?

— Ależ bynajmniej! Ja właśnie miałem zamiar się żenić, rozmyśliłem się jednak. Tyle mi ludzie pokazali ujemnych stron w małżeństwie, iż się waham. Kto wie, czy nie cofnę się całkiem.

— Czy pańska babunia, pani senatorowa, wiedziała o pańskim projekcie?

— Ona to mnie do tego skłaniała.

— I pan się wahasz jeszcze?

— Widziałem tyle małżeństw niedobrych.

— Posłuchaj mnie pan chwilkę, i ja mam też swój pogląd na małżeństwo. Młody byłem jeszcze, gdy mi ojciec powiedział, żebym się ożenił. Nie znałem narzeczonej, ale uwierzyłem w rozum i przywiązanie do mnie ojca. Ożeniłem się z Sarą. Zwyczajem patryarchalnym przepędziłem kilka lat w domu ojca, kształcąc się w zawodzie bankierskim. Przeżyliśmy z Sarą długie lata... lat czterdzieści. Dziś ona spoczywa w spokoju, a ja żyję ze swoją tęsknotą, którą mi opromienia jedynie wesoły uśmiech mojej Reginki. Tak, drogi panie Tadeuszu, wierzaj mi, że przyczyną wszystkiego złego w dzisiejszych małżeństwach jest młodzież jedynie. Dziewczęta, zwłaszcza egzaltowane, nie kierują się radą rodziców, marzą o związkach idealnych; wy, młodzi, stawiacie niepomierne wymagania, te nie zawsze się ziszczają, a stąd niechęć i ból w życiu małżeńskim. Stąd to wasza niewiara, brak zaufania do żon przyszłych. No, ale w takim razie interes zostawmy do chwili, którą pan uznasz za stosowną. Tymczasem chodźmy do salonu.

W salonie zastali dwóch panów.

— P. Tadeusz Łada, panowie Grossholtz—
prezentował pan Salomon, witając się ze star-
szym z gości.

Tadzio od razu spostrzegł, że młody Gross-
holtz jest kandydatem do ręki panny Reginy,
ale i to zauważył, że nie prędko zdobędzie so-
bie sympatyę energicznej panny.

Trochę nieśmiały, trochę zamyślony, do-
puszczał się różnych nadużyć, w sferze konwe-
nansu używanych, i popełnił jeden błąd bardzo
wielki: zasluchał się w jakąś kombinację ban-
kową, stanowiącą przedmiot rozmowy panów
Gutgolda i Grossholtza, pozwolewszy tym spo-
sobem Regince zająć się całkiem Tadziem. Ci
też niezwłocznie znaleźli się przy fortepianie.

Fortepian jest to instrument bardzo nie-
bezpieczny, gdy na nim gra panna, ale stokroć
niebezpieczniejszy, gdy na nim pannic towa-
rzyszy młodzieniec. Cóż łatwiejszego, jak przy
andante i *piano* spowiadać się młodym ze swych
uczuc; což łatwiejszego, jak na widok zbliża-
jącej się mamy lub cioci przejść w *allegro vivace*
i zwierzenia roztopić w skali śmiechu.

Panna Regina z Tadziem odegrali jakie-
goś nowego walca i, przeglądając nuty, zajęli
się rozmową.

— Widziałeś pan? To mój konkurent.

— O ile wnosić mogę, człowiek nieźle wychowany i dystyngowany.

— O, tak! Ale cóż w nim ukochać można: czy zdolności handlowe, które są jego jedyną zaletą? czy formę towarzyską, którą obserwuje skrupulatnie, jak jego ojciec przepisy talmudu?

— Bogaty zapewne?

— Podobno jedynak. Lecz, wierzaj mi pan, i ja kobieta... i ja zazdroszczę losu biednej dziewczynie, co rzuca się w objęcia ukochanemu, jak ćma w płomień świecy...

Podano herbatę, od której Tadzio wymówić się nie mógł.

Panna Regina była milcząca i zamyślona.

Po herbacie Tadzio pożegnał pana Samuela. Regina podała mu rękę życzliwie, mówiąc:

— Jeżeli kiedy jaki interes sprowadzi pana do ojca, proszę sobie przypomnieć...

— O Judycie?

— Ale gdzie tam! o pustelnicy z pośród mchów i paproci.

Młody pan Grossholtz żegnał się również, tłómacząc się nagłym bólem głowy.

ROZDZIAŁ XV.

Pan Nikodem Mirelsztejn opowiada, jak wziął na odwagę, wypił dwa kieliszki śliwownicy, zjadł całe jajko na twardo i oświadczył się, no... i dostał odkosza.

Na schodach młody pan Grossholtz dogonił Tadzia.

— Pozwoli pan, że zrobię mu pewną propozycję, a raczej zaniosę do pana prośbę.

— Służę panu, z największą chęcią.

— Nie wiem tylko, czy prośba nie będzie zbyt śmiała...

— Nie krępuj się pan bynajmniej.

— Jeżeli czas panu pozwala, pójdźmy do teatru. Głowa mnie boli... całodzienne interesa wymagają wypoczynku.

— Trzeba było panu pozostać u państwa Gutgoldów — rzekł Tadzio, uśmiechając się nieco.

— Właśnie, panie, że to nie wypoczynek. Nie kryję się przed panem, że staram się o pannę Reginę; ona jednak albo wcale nie ma serca, albo przynajmniej nie ma go dla mnie... odpycha mnie swoją obojętnością. Daruj pan... należysz do lepszych sfer towarzystwa... oświeć mnie pan, powiedz, czem trafiacie do przekonania kobiety, czem ją sobie ujmujecie? Sądziłem, że troskliwie nagromadzo-

ny majątek i przywiązanie powinny wystarczyć najwybredniejszej pannie.

— Do serca trzeba przemawiać. Pannę wrażliwą, uczuciową, ująć jakimś czynem szlachetnym.

— A czyż praca twarda i ciężka to nie czyn szlachetny?

W teatrze grano „Złotego cielca.“ Oklaskiwano bohaterkę, śmiano się szczerze z komicznych kreatur tej komedyi.

W antrakcie pan Rudolf Grossholtz poprosił Tadzia do bufetu.

— Jak się masz, Rudolf! Co ty jesteś taki smutny, jak Filip z konopi? Wiesz ty co, my sobie napijemy piwo — zagadnął go jakiś kantorowicz.

Grossholtz zażenował się nieco obecnością Tadzia. Ale wejrzenie chłopca wyrażało tyle sympatyj i ciekawości, że, ośmielony, rzekł pół żartem:

— Dobrze to byłoby, panie Mikusz, ale, widzisz, jestem w towarzystwie. Pan Nikodem Mirelsztejn, pan Tadeusz Łada — dodał, przedstawiając sobie obudwóch.

Trochę onieśmielony kantorowicz ukłonił się dosyć niezgrabnie, ale spryt wrodzony wykazał się w odpowiedzi:

— Wielki to zaszczyt dla mnie! Nie sądzę pan jednak, abym przez to miał na myśli: *Les amis de nos amis...*

Podobało się to Tadziewi niezmiernie, rzekł też:

— Daj pan pokój ceremoniom, panie Mirsztejn. Siądźmy przy stoliku.

— Ja prosiłem—zaprotestował Rudolf.

— Ty, Rudolf, nie potrzebowałeś prosić. Garson! trzy kieliszki wódki i dwa jajka na twardo!

Na twarz Rudolfa wystąpił rumieniec.

— Co ty mówisz, Nikodem? Dobry z ciebie gospodarz! Któż o tej porze i w teatrze jada jajka na twardo?

— No, to nic! Garson! jeden kruszon, trzy szklanki i dwa butersznity z sardynką!

Tadzio zachował powagę.

— Nikodemie—rzekł Grossholtz,—co też ty wyrabiasz! Włożyłeś kapelusz na głowę *à la* nasz protoplasta Grojseszyk, bawisz się laseczką i wypowiadasz niemożliwości gastronomiczne. Poczekaj, ja zadysponuję.

— No, jak chcesz.

— Ależ, pozwólcie panowie, ja się z tem lepiej załatwię. Słuchaj-no, Stanisławie—rzekł do czekającego garsona, — podaj-no koniak, trochę kawioru, coś w guście majonezu, zresztą co tam masz, tylko prędko, mój drogi!

— Słucham jaśnie pana.

— To — myślał sobie Stanisław — jakiś mebel! Widać grubszą rybę. Naciągają, zedrą go biedaka! Ale co tam! na wypadek zamrozę szampana.

Rudolf był bardzo wdzięczny Tadziewi, że tak delikatnie załatwił dość drażliwą sytuację. Zwróciwszy się do Nikodema, zwanego Mikusiem, wyszeptał:

— Gdzieżeś ty się takich manier nauczył, Mikuszu? Twój ojciec był porządnym kupcem, dał ci przyzwoitą edukację, wprowadził cię w dobre towarzystwa... gdzieżeś ty tak sknajpiał? gdzieś nabrał tego żargonu?

Tadzia zainteresowała rozmowa dwóch młodych żydów.

— Może w sklepie? — mówił dalej Rudolf. — Ależ tam masz sam wybór dam z towarzystwa, możesz się uczyć wytwornego języka i dobrych manier.

Rudawy Mikusz poczerwieniał na chwilę, ale nagle bladość zastąpiła miejsce rumieńca, oczy zamigotały mu dziwnym blaskiem i odrzekł namiętnie, z odcieniem goryczy:

— Tak, tak, damy z towarzystwa!... Jakie to piękne, to bardzo piękne jest! Ale szukaj tych dam, szukaj towarzystwa w życiu naszym. Zajdź do naszych salonów... Panna, co skoń-

czyła edukację, gra na fortepianie, mówi po francusku. Przemawiasz do niej: „Panno Rózo, mieliśmy sprzedaż wyborną, nigdy więcej nie żądano welwetu.“ Skrzywi się i powie, że jest nieznośne gorąco i że zaduch jest. Powiedz drugiej: „Panno Balbino, jak pani się zapatrujesz na stan kupiecki?“ Wiesz, co ci odpowie: „Na to szachrajstwo? Ja się wcale nie zapatruję. Ideałem człowieka winien być dyplom.“ Rozumiesz, Rudolffie, alluzyę. Wzięłem raz na odwagę: wypilem dwa kieliszki śliwownicy i zjadłem całe jajko na twardo, potem poszedłem do Trieltranków i powiedziałem pannie Emilii, że ją kocham. Na to, choć żydówka była, wybuchnęła potężnym gniewem: „Żeby tobie,“ mówiła, „ogień wlaźł na wątrobę, żebyś ty nogę złamał! Ja mam iść za takiego kapcana! Żeń ty się ze starym kotem na dachu!... Możesz sobie powiesić, bo ja potrzebuję, ja muszę mieć za męża hrabiego!“ A była to jednak panna bardzo wykształcona, pełna form, tylko gniew ożywił w niej krew cór Syonu. Och! jak piękną była w tym gniewie!

Tadziowi żal się zrobiło biedaka. Nalał mu kieliszek koniaku.

— Panie Mirelsztejn, nie martw się, znajdziesz pan godną towarzyszkę życia.

— Gdzie?—odparł z goryczą.—Czy u wiernych mężów, apostołów zacofania? Jak pan

śmiejesz się z mego żargonu, którego Bóg wie gdzie nabrałem, tak oni śmieją się z mego kapelusza i tużurka. Zapytasz którego z nich o córkę, to ci powie: „Naprzód porachuj posag, włóż czapkę, buty i kapotę, a potem sobie szukaj żony... gdzieindziej. Ja córki nie wydam za hołysza... Na co ty nie kładziesz zapalanej świecy na swoją pierzynę? Na to, żeby się nie spaliła. Idź z Bogiem, daj mnie spokój! Są jeszcze uczciwe żydki na świecie, są bogacze, dla moich córek ich nie zabraknie.“ Panny wykształcone, choć może i mają przewagę nad rodzicami, kantorzystę lub kupczyka uważają za rzecz podrzędną, za istotę, na którą nie warto zwracać uwagi. Nie, panie, nie dla nas piękny urok domowego ogniska. Więc cóż nam pozostało? Widzisz pan—mówił Mirelsztejn, wpadając w wesołość,—od czegoś świat? Czekaj pan, zaraz tu przyjdzie Kazia, bardzo ładna dziewczyna. Ach! jak ona pije koniak!...

— Nikodem, zastanów się! — szepnął Rudolf.

— Na co tu się zastanawiać! Panie Łada, pan pozwoli, będziemy jeść jarząbka, albo kawałek cietrzewia, co pan woli, i my potrzebujemy wypić za zdrowie Kazi prawdziwe szampańskie... na sumienie, prawdziwe.

Zjawił się szampan, zjawił się też szyfon niemożliwy w czerwonym kapeluszu, zwany

Kazią. Ordynaryjna dziewczyna odebrała Tadziewi apetyt do jedzenia. Zapalił więc cygaro i przeszedł się po sali.

U wejścia do ogrodu spotkał Grossholtza.

— Ha!—rzekł młody bankier—zaczęliśmy rozmowę poważną, lecz przerwały ją niesmaczne wybuchy wesołości tego trzpiota Mikusia, choć, wierz mi pan, chłopak to niezły, bez uprzedzenia to mówię. Innym byłby, gdyby się ożenił; a dziś ma dwie rzeczy do wyboru: albo towarzystwo takich pań, albo jeszcze gorzej... Wiesz pan, co chcę powiedzieć. *A propos*, jeżeli pan sobie życzy, pokażę panu kiedy pierwotów tych pań, wśród których Mikuś szukał żony. Ale, dobra noc panu! Zostawmy Mikusia w jego towarzystwie.

ROZDZIAŁ XVI.

Dwie zneękanne kobiety i energiczna panna Beata.

W cukierni narożnej na Placu Teatralnym siedział Rudolf Grossholtz, zatopiony w czytaniu „Gazety Losowań.“ Kawa wystygła mu już dawno, ale cyfry zaabsorbowały jego uwagę. Ktoś podobno powiedział, że logarytmy są poezją matematyki, a jak wiadomo—poezya upaja czasem... jak alembikówka z szynku. Grossholtz upajał się poezją cyfr.

Z upojenia obudził go Tadzio.

— Sądzę, że się nie spóźniłem — rzekł, spoglądając na zegarek.

— Och! po cóż to zapewnienie! Wiem, że jesteś pan punktualny jak zegarek. Co do mnie, przyszedłem nieco wcześniej. Idźmy do państwa Kleinfederów.

— Z przyjemnością, panie.

— Nie znudzisz się pan tam, zapewniam pana. Może razić pana będzie pewien dysonans, ale, jak uważam, światowym człowiekiem pan jesteś.

Pan Kleinfeder zajmował wspaniały apartament na ulicy Mazowieckiej.

Lokaj w liberyi zaanonsował pana Rudolfa Grossholtza i pana Tadeusza Ładę.

Zabawny, mały człowieczek, zamiast kazać prosić, wybiegł sam do przedpokoju.

— A! bardzo miło mi, bardzo miło ze starą gościnnością powitać panów u progów mej chaty! Nieskończenie jestem wdzięczny panu, panie Grossholtz, żeś mi przyprowadził tak drogiego gościa. Proszę, proszę dalej!

I ścisnął po kolei dłonie Tadzia i Rudolfa, wskazując drogę do salonu.

W salonie siedziało dwóch mężczyzn. Jeden, ziewając, przerzucał jakąś ilustrację francuską; drugi palił cygaro, otrząsając popiół na pyszny kobierzec, rozesłany pod stołem.

— Uf! — ziewnął pan otrząsający cygaro—zawsze papa sprowadza jakieś figury. Muszę raz temu koniec położyć.

— Ja już do tego przywykłem — odrzekł drugi pan z poza ilustracyi francuskiej,—bawimnie to.

Pan Kleinfeder, Tadzio i Rudolf weszli do salonu.

— Jakto? pań niema?—rzekł Kleinfeder—przecie mamy gości! Pan Tadeusz Łada i pan Rudolf Grossholtz.

— Ach! Tadzio! — zawołali jednogłośnie obaj panowie— co za miła niespodzianka!

— Widzisz, Władziu, ja ci zawsze sprawiam miłe niespodzianki — rzekł pan Kleinfeder.

— To prawdziwa niespodzianka!— pomyślał zięć pana Kleinfedera.—Czyżby chciał zostać moim szwagrem? Przecież majątkowo tak źle nie stoi. — Głośno zaś rzekł: — Bardzo cię proszę, Tadzio kochany. Niech-no ojciec idzie poprosi moją żonę i panią Karolowę. Czemu pan Rudolf Grossholtz nie siada?

Pan Kleinfeder wybiegł śpiesznie; dwaj panowie otoczyli Tadzia, pozostawiając Grossholtza samemu sobie.

— Mój Tadzio—mówił zięć Kleinfedera,—powiedz mi, co ty tu porabiasz?

— Ależ nic. Przyszedłem zaproszony. Podobno dziś wydaje wieczór pan Kleinfeder.

— A babcia, co cię tak troskliwie wypielegnowała w zasadach bronięcia honoru tarczy?

— Nikt nie czuwa nad mojem postępowaniem. Przyszedłem tu, zaprowadzony przez pana Grossholtza.

— No, tak; ale, mówiąc między nami, czy czasem nie masz zamiaru pojęcia za małżonkę panny Beaty? O ile wiem, darujesz, interesa nie zmuszają cię do tego.

— Władysławie! — przerwał Tadzio — nie dobrze rozumiem, co mówisz. Jakiego interesa mogłyby mnie zmuszać do poślubienia panny Beaty?

— Jakiego zmusiły mnie do poślubienia panny Laury: kłopoty finansowe, mój drogi! Musiałem się sprzedać. Ale czekaj... oto panie nadchodzą.

Otworzyły się drzwi i z panem Kleinfederem weszły trzy panie.

Powstał z miejsca pan Grossholtz, skłonił się Tadzio, tylko pan Władysław i apatyczny pan Karol nie zmienili postawy.

Po przywitaniach Tadzio dowiedział się, iż jedna z pań jest żoną Władysława, druga jej siostra — panna Beata, trzecia zaś była to pani Karolowa, żona owego pana, zagłębionego w czytaniu francuskiej ilustracji.

Pan Władysław poprawił swe nadweryżone fundusze posagiem, jaki pan Kleinfeder wypłacił za córką. Pan Karol starał się o jakąś małą posadę na kolei, której głównym akcyonaryuszem był pan Silberstadt. Dostał posadę bardzo wysoką i poślubił pannę Silberstadt.

Nie przeszkodziło to pierwszemu robić nowych długów i ze śmiechem żartować z propozycji teścia, aby jął się pracy uczciwej w zawodzie przemysłowym; nie przeszkadzało drugiemu porzucić męczącą posadę, gdzie trzeba było najmniej trzy godziny na miesiąc w biurze przepędzić, i robić długi dalej.

Tylko te żony, te żony nieznośne!... ani ich w świat wprowadzić, ani się z nimi pokazać! Och! ileż to człowiek musi znosić poświęceń i upokorzeń!

Tak sobie myśleli biedni mężowie.

Kobiety dodatnie wrażenie zrobiły na Tadeuszu.

Ze znajomością więc przedmiotu zapytał panią Karolową:

— Zdaje mi się, że miałem panią przyjemność widzieć na premierze. Tak panią rzadko można spotkać w naszym nudnym świecie... Pani stroni od niego?

— O, nie, panie Tadeuszu. Mój Karol tak pochłonięty jest sprawami społecznej na-

tury, że z konieczności muszę ograniczać się do własnego domu, ojczulka i najbliższych, tak, że trudno znaleźć chwilkę czasu dla świata, który pan nudnym nazywasz, a który jednak jest pięknym, jak każdy wytwór postępu i cywilizacji.

— Bette!—przecodził przez zęby pan Karol.

Zdumiała ta odpowiedź młodej kobiety Tadzia. Znał on kostyczne anegdoty, krążące właśnie w owym świecie o rzeczonym małżeństwie. Kronika skandaliczna nie szczędziła tajemnic ich pożycia domowego, gdzie pani przypadała rola raczej niewolnicy niż królowej,—ze szczerą też sympatyą odrzekł:

— Tylko pełnia szczęścia może dawać tak różowe na świat poglądy. Radbym je podzielać.

Wdzięczność błysnęła w oczach kobiety.

Pan Kleinfeder zacierał ręce.

— To miły młody człowiek! — myślał— jak on pojmuje godność kobiety! Akurat pretendent do mojej Beaty.

Tymczasem pan Władysław na uboczu dawał żonie napomnienia, panna Beata rozmawiała z Grossholtzem.

Beata lubiła inteligentnego Grossholtza, nieraz spędzali długie chwile na poufałych zwierzeniach. Wydawał on jej się innym, o ca-

łe niebo wyższym od pana Władysława, który, dzięki tytułowi, poślubił jej siostrę Laurę. Rozumiała, że siostra jej szczęśliwą nie jest, i dziwił ją upór ojca, który marzył tylko o tem, aby córki powydawać za ludzi utytułowanych.

— Powiedz mi pan, panie Rudolffie—mówiła do Grossholtza, — po co pan przyprowadziłeś tu pana Ładę. Czy to czasem nie konkurent o moją rękę?

— Mogę panią zapewnić, że tak nie jest.

— I ja też tak sądziłam. Nic ma w swej twarzy ani odrobiny znamion chciwości i lekceważenia. To jakaś natura uczciwa.

— Nie mylisz się pani wcale.

— O, bardzo, bardzo jestem panu wdzięczną. A cóż tam panna Regina?

— Jak zwykle... zatopiona w ideałach, na świat nie patrzy; zdaje się jej, że stąpa po obłokach, gdy depce serce ludzkie.

— Biedny panie Rudolffie!

— Gdybym nie był pewny charakteru pana Tadeusza, lękałbym się niebezpiecznego rywala; ale myślę go użyć za swego sprzymierzeńca.

— Daj panu Boże! A wiesz pan, czego ja się lękam?

— Pani?

— Lękam się, że ojciec zechce mnie wydać za niego.

— O to się pani nie lękaj. Ma on własną wolę i od niej nie odstąpi.

Wieczór minął wśród ożywionej rozmowy.

Tadzio zdobył się na wyborny humor— rozśmieszył do łez dwie znękanе kobiety i wesółą pannę Beatę. Władysław i Karol dawali żonom przestrogi, że za głośno się śmieją. Pan Kleinfeder był zachwycony; gdy Tadzio i Grossholtz odchodzili, żegnał ich nader czule.

ROZDZIAŁ XVII.

Na falach wiślanych.

Pan Kleinfeder, pozostawszy w salonie sam na sam z Beatą, ścisnął ją czule i rzekł:

— No, moje dziecko, zdaje mi się, że będziesz szczęśliwą. Nie sądzę, żeby pan Łada przyszedł tu bez celu.

— O, nie, mój ojczulku! Naprzód, wiem, iż przyszedł bez celu; a powtóre, gdyby miał w tem cel, nie dopiąłby go z pewnością. Możebym go pokochała, gdyby mi był równy położeniem społecznem. Ja chcę być towarzyszką męża, nie zaś jego niewolnicą. Daruj, ojczy! ale gdzie cię zawiodła duma! Spójrzyj na bladą twarz Laury, na niepokój, wypię-

tnowany na jej czole! Ofiara zarówno swojej jak i twojej, ojczulku, dumy, opłaca życiem całym nieszczęsny pomysł skojarzenia się ze starym rodem. Ojczy, daruj, ale ród nasz starszy daleko.

To mówiąc, dziewczyna wybiegła do swego pokoju.

.....
Tymczasem Grossholtz, odprowadzając Tadzia, opowiadał mu cudowne rzeczy o życiu państwa Karolów.

— Biedna kobieta—mówił Rudolf,—chciała mitry i ma ją na powozie. Jakże byłaby szczęśliwą, gdyby zamiast niej umiała z godnością nosić na czole czepek kobiecy! Zauważyłeś pan lekki obrzęk jej twarzy? Wiesz pan, to ślady dłoni brutalnego męża. Panie, ona na świat tak się różowo spogląda! Żydem, mój panie, jestem, ale nie obce mi są dzieje cywilizacji. Przypomnij pan sobie, że najszczęśliwsza z kobiet u was, święta Monika, nigdy się na los swój nie skarżyła.

Zdumiało nieco to zdanie Tadeusza.

Rzeczywiście, fizyolog jakiś powiedział: „*Femina habet vitam*“ — mógłby to i sam psycholog powiedzieć.

Cierpieć z anielskim uśmiechem i konać z nim — to bohaterstwo, do którego tylko kobieta jest zdolną.

Przeżyć dumę ojca, błędy męża, często występki dzieci, cierpieć z pogodnym uśmiechem na twarzy — chyba kobieta tylko potrafi.

Tadzio z Grossholtzem skierowali się ku Wiśle.

Prześliczny był wieczór — księżyc, jak dziewczę zalotne, przeglądał się w falach rzeki, a pochlebne zwierciadło szeptało szmerem fal: Jaki ty piękny, jaki wdzięczny jesteś! Och, nie darmo Salomon mądrość z twoją pięknością porównał!

Szli, marząc, gdy z brzegu praskiego rozległ się szmer ciała, wpadającego w wodę. Widzieli przy świetle księżyca, jak fale wiślane zataczały wciąż szersze kręgi, które błyskały w dali.

Z brzegu dolatywały głosy:

— Józiek! rypaj! o, tu! tu jeszcze widać!

— Antek! puść żagiel i na dulki!

Kilka łodzi pomknęło ku środkowi owych kół srebrzystych.

Stary rybak skoczył z krypy i wyciągnął na powierzchnię wody ciało jakieś.

Przewoźnicy patrzyli z niepokojem.

— Ehe! już po niej! Żeby miała choć trochę ducha, toby się jąła rękami. Wiadomo, tonący wszystkiego się chwyta.

Podano rybakowi wiosło, złożył ofiarę w krypie i całą siłą wiosel pchnięto łódź ku brzegowi.

Tadzio z Grossholtzem już tam stali.

Była to kobieta niezwykle piękna. Rzucano się do ratunku, który jednak do niczego nie doprowadził. Tadzia zdziwiło tylko, że przy ucisku żołądka nie wydobywa się z ust woda i piana.

— Nigdy w życiu podobnego topielca nie widziałem—pomyślał.—Trzeba sprowadzić policję i lekarza. Panie Grossholtz!—zawołał—panie Grossholtz! gdzie pan się podziałeś?

Grossholtz stał opodal, jakby skamieniały, z załamaniem rękami.

— Panie Rudolffie—mówił Tadzio,—ratunek tu niemożliwy, ale trzeba zawiadomić o wypadku policję.

— Och! aby nie ja. Widziałem ją wczoraj jeszcze.

— Więc znasz pan ofiarę?

— Tak jak pana znam. Och! chodźmy stąd, chodźmy! To okropne!

Ludzi, mimo spóźnionej pory, zbiegło się sporo. Zwłoki przykryto jakąś płachtą.

Tadzio z Grossholtzem odeszli. Dodajmy, że w chwili milczenia Tadzio polecał duszę zmarłej miłosierdziu Boga.

Cichą modlitwę przerwał mu Grossholtz.

— Och! nigdy nie zapomnę wczorajszego wieczoru! U nich go spędziłem.

— Czy nieboszczka zdradzała jakie zбочenie umysłowe?

— Umysł to był jasny jak słońce, charakter prawy. Serce ją zabiło. Wykształcona—mówił dalej Grossholtz,—piękna, czysta, szlachetna, córka brudnego lichwiarza, dążyła do celów wyższych, szlachetnych. Tak—mówił bezładnie Rudolf,—tak, wczoraj byłem świadkiem sceny, lecz nie myślałem, że się tak strasznie zakończy. Ojciec jej mówił, czemu nie wychodzi za mąż; przecież o nią się stara bardzo bogaty i wpływowy rabin nie pamiętam już z jakiego miasteczka. „Nie, mój ojczy,“ odpowiedziała mu stanowczo, „żyć przy tobie, pielęgnować cię całe życie mogę; ale za mąż nie wyjdę nigdy, bo wiesz, jak kocham pana Antoniego.“ „Przeklęta!“ — krzyknął starzec, „wolę cię ujrzeć martwą, niż niewierną, żoną goja!“ Dziewczyna ucałowała ręce ojca i rzekła: „O, nie ujrzysz mnie, ojczy!“ Wtedy nie mogłem już patrzeć na ten obraz, uciekłem, a dziś musiałem patrzeć na martwe zwłoki biednej dziewczyny!

V.

NIBY-MAŁŻEŃSTWA.

ROZDZIAŁ XVIII.

**Jeszcze jedna teorya pana Prospera, oburzająca Tadzia.—
Niewolnicy złotych serc.**

Przez kilka dni Tadzio był bardzo zamyślony. Sceny, jakim się przyjrzał uważnie, odebrały mu wiarę w różne poglądy na życie. Postaci: hrabiny Izy, Matyldy, pani Leokadyi, ironicznego pana Prospera, wirowały mu w głowie, zawodząc jakiś taniec piekielny. Mimo to wszystko, szedł machinalnie w aleje—może zobaczy Anielkę.

Zamiast jednak Anielki, zły duch w postaci pana Prospera powitał Tadzia.

— Znowu w aleje... znów szukasz ideału!...
Trudno, nie chcesz sobie wybić z głowy szalo-

nej myśli! Nie powinno to jednak wpływać, abys mi nie poświęcił jednego wieczoru na przyjacielską pogadankę. Chodź ze mną.

Prosper hypnotyzował Tadzia swymi paradoksami. Posłuszny jak owca, poszedł za swoim mistrzem, ma się rozumieć... do knajpy.

Była to knajpa wyższego rzędu, oświetlona *à giorno* z zewnątrz, w łonie swem zawierała półoświetlone gabineciki. Tam szampan płynął strumieniem, same wykwintne jadra łechtały podniebienia smakoszków, tam zalotne uśmiechy kobiet obiecywały dudkom raj na ziemi.

— Bo, widzisz — mówił pan Prosper do Tadzia, — dziś mamy zebranie familijne. Będzie Oleś z żoną, Jaś z żoną i Adaś z żoną.

— Bój-że się pan Boga! Za kogo mnie pan bierzesz? za dziecko?... Znam tych panów, wiem, że są nieżonaci... a gdyby nawet wczoraj połączyli się węzłami małżeńskimi, to czyżby afszowali się z żonami?

— O! dziecko, dziecko! Wiesz, nie każdy ma odwagę przykuwać się do żony na całe życie. Ot tak, na rok, dwa, trzy... zresztą, albo pan domu traci majątek i gołąbka pieszczona ucieka w przestworza, albo znajdzie się ktoś lepszy, z bardziej wypchanym pugilaresem, i bóstwo porzuca łaskawie serce złożone w ofierze, nie mówiąc o wyłożonych kapitałach.

— Panie Prosperze, ależ to ohydne, brudne, wstrętne!

— Zawsze lepsze od małżeństwa. Tu przynajmniej nic cię nie krępuje, wolny jak ptak jesteś i w każdej chwili możesz powiedzieć: Moja droga pani, idź pani sobie do dyabła!

W saloniku restauracyi rzeczywiście pan Prosper i Tadzio spotkali Olesia, Jasia i Adasia z żonami.

Żony owe były to osóbkki fertyczne, śmiałe, wystrojone wyzywająco, w obejściu swobodne.

Tadzia zaprezentował pan Prosper.

Panie podały chłopcu rękę i usadowiły go między sobą.

Żona Jasia zawołała na swego męża:

— No, ty stary cymbale! cóż tak siedzisz?... Każ dać kawy i likierów! Zaraz idziemy do teatru.

— Niutu droga — odezwał się Jaś, — przecież wiesz, że nie mam.

— Nie masz?... A wczoraj na Kiempie co wydałeś z Florką?

— Zastanów się!... to moja siostra.

— Ty tylko wszystko pchasz w rodzinę... wiele ci z familii przyjdzie. Widzisz go! Zaraz posyłaj po bilety do teatru.

Poskrobał się Janek w głowę. Bardzo mu żal było tej siostry, której imię grymaśna dziewczyna w knajpie wymówiła.

— Jużbyś też dał odczepne tej jędzy— szepnął Jankowi do ucha Oleś,—to tłomok nie- napchany.

— Och! żebyś wiedział, co to za złote serce! Prędka trochę, no, ale jaka uczciwa! Za żonąbym tak nie ręczył, jak za nią.

Mówiąc to głosem przytłumionym, Jaś wyjął z portmonetki kilka rubli; a kładąc je w dłoń rozzłoszczonej kobiety, całował ją czule i mówił:

— Kup, duszko, bilety do teatru.

Ten szatan Prosper trącił Tadzia w ramię i szepnął mu do ucha:

— Widzisz, dał jej pieniądze, pożyczone na gruby procent u lichwiarza. A wiesz, na co pożyczył? Na to tylko, żeby zapełnić niedobór w kasie. O!... uważasz?

Z rumianej twarzy Tadzia krew zbiegła, szepnął tylko:

— To być nie może!

A jednak tak było w istocie.

W tym czasie jedna z owych pań, widząc, iż Oleś coś szepce do ucha Jasiowi, zerwała się jak pantera i napadła na biednego Jasia:

— Oleś nie potrzebuje mieć żadnych sekretów. A jak będzie miał jakie sekrety, to mu, tak jak panu, zęby powybijam. Olek! zaraz mi stąd wychodź!

Biedny Oleś proponował coś w rodzaju kompromisu, ale furya nie dała mu przyjść do słowa. Ruszył ramionami i poszedł.

Adaś roześmiał się głośno na taką kapitulacyę Olka.

— No, żeby ze mną moja Basia coś podobnego zrobiła, wiedziałbym, jak postąpić. Prawda, Basieńku?

To mówiąc, ujął w dłonie rękę dziewczyny, całował ją i przytulał do skroni.

Dziewczyna jednak była widocznie w złym humorze, bo rzekła:

— Jakbym chciała, to i cóżbyś mi zrobił?

— No, moja Basiu, tylko bez skandalów! Ja nie chcę, żeby mię wytykano palcami.

— Jeżeli nie chcesz, żeby cię wytykano palcami, to się nie wdawaj w towarzystwa. Możesz siedzieć w domu, nie z byle kim tracić pieniądze. Ruszaj mi zaraz do domu!

— Basiu droga, zaczekaj chwilkę.

— Jeszcze raz, jeszcze raz!... — całując dziewczynę, nucił rozmarzony Adaś.

A Jasiowa w tej chwili rzuciła się na Prospera:

— To wszystko przez pańskie rady i namowy!...

— Ależ ja się dotąd nie odzywałem ani słowa.

— Albo może nie wiem, coś pan wygadawał we czwartek na preferansie u Radzika? Safandudy, powiadasz pan, wiechcie słomiań!... Ja panu pokażę wiechcie!

— Niutka! — uspokajał pół pijaną dziewczynę Jaś.

— Idź i ty! Wy wszyscyście tacy! Straciłam dla ciebie wszystko!

— Niutko! bo, jak Boga kocham...

— A idź, waryacie! idź, odczep się ode mnie, bez łaski!...

Krzyk dziewczyny przerwał jakiś matowy trzask w rodzaju oklasku, dochodzący z sąsiedniego pokoju. Nie ulegało wątpliwości, że tam obelgi czynne przybrały groźne rozmiary.

Tadzio pocziwy i chętnie śpieszący z pomocą zwaśnionym, zerwał się czempredzej, aby ratować stronę słabszą.

Porwał go wszakże za rękę Prosper, wołając:

— Waryacie! chcesz co oberwać? Siedź, kiedy ci dobrze.

— Cha! cha! cha! — zaśmiała się dosyć świeżym jeszcze głosem Basia Adasiowa—a to

ci Ludka wyprawia frajdę Olkowi! Żeby mu choć binokli nie popsuła. Ale ona mu lepiej onegdaj zrobiła. Pokłócili się w Belle-vue... on się zabrał i poszedł, a ona pojechała z tym małym Józkiem do Eldorado. Wraca Olek do domu... drzwi zamknięte. Idzie do stróża, powiada: „dawaj klucz!“ a stróż mu: „pani klucz zabrała.“ Musiał czekać przed bramą. Dopiero koło pierwszej zajeżdża doróżka i Ludka z Józkiem wysiadają. Dopiero on do Józka powiada: „przepraszam pana!“ i wziął ją przeprosił. Było tej zgody aż do dzisiaj. Ale oni się jeszcze pogodzą, oho!

Jakoż w tej chwili Olek i Ludka weszli w jak najprzykładniejszej zgodzie. Olek kazał podać kawę z likierem.

Byłby może cały ten wieczór upłynął w najlepszej harmonii, gdyby nie Basia Adasiowa, która popsuła ową harmonię.

ROZDZIAŁ XIX.

Zawieszenie broni i garstka potłuczonego szkła.

— No, pijmy ten likier — mówił Adaś, — bo muszę wpaść na chwilę do Kazia. Potrzebuje on pieniędzy, muszę mu więc podpisać weksel.—Ty, Basiu, wróć do domu. Ja przyjdę niedługo.

— Ani mi się waź odchodzić!

— Dałem słowo honoru, muszę.

— Ja ci tu dam słowo honoru! Musisz wracać do domu! Dostyc już tych podpisów! Kto nie chce, to cię nie nabierze. Ciągłe tylko pożyczasz i pożyczasz! Nic z tego nie będzie! Wracaj zaraz do domu i basta!

— Basiu, zastanów się, co mówisz! Słowo honoru jest słowem honoru, łamać go nie wolno pod żadnym pozorem.

— Pod żadnym pozorem?—krzyknęła rozłoszczona kobieta. — Ja ci tu zaraz zrobię pozór! — i w mgnieniu oka chwyciła kandelabr, stojący na stoliku, i rzuciła nim o stół z siłą niezwykłą. Świece powypadały i pogasły, zadźwięczały skorupy potłuczonych filiżanek i kieliszków, kawa spływała grubemi kroplami z serwety, a ciemność pokryła gabinet.

Tadzio przeraził się okropnie.

Pan Prosper jednak nie stracił wcale zimnej krwi; wyjął z kieszeni paczkę zapalek, rozniecił światło i z miną obojętną zwrócił się do Tadzia:

— Mój kochany, poszukaj-no świecy.

Tadzio znalazł trochę nadłamaną świecę, a przy jej blasku — o zgrozo! — ujrzał Adasia, całującego w ręce furię piekielną i przyrzekającego, iż już wcale nie pójdzie do Kazia, choć

mu dał słowo honoru. Jaś i Oleś cieszyli się jak dzieci.

— Panie Prosperze, chodźmy stąd, na Boga!—szepnął biedny Tadzio.

— A to po co? Żle ci tu z nami? Wszystko i wszyscy w zgodzie jak najmilszej i najlepszej, kawa wyborna...

— Nie, nie, nie! Nie mogę patrzeć na takie upodlenie człowieka.

— A to chodź, waryacie, chodź!

Pożegnał tedy towarzystwo. Trzy doróżki rozwiozły trzy czułe pary na różne końce miasta, pan Prosper zaś przez drogę mówił Tadziovi:

— Co ty w tem wszystkiem widzisz dziwnego? Co cię tu oburza lub zniechęca?... Rzecz to zwykła jak chleb powszedni, a jak świat stara. Będą się bić i kłócić codziennie i codziennie przeproszać... życie obmierźnie obojgu... Ale czy życie warte co więcej? A tymczasem mają wolność i swobodę. Nie ręczyłbym, czy sobie który z tych waryatów w łeb nie palnie. Ale co mi tam zresztą do tego. Posłuchaj, a powiem ci lepszą historję.

ROZDZIAŁ XX.

Dlaczego pewna młoda hrabina wyjechała do Meranu.

Tadzio słuchał.

— Różnie to, widzisz, dzieje się na świecie. Młodość spędziłem dosyć wesoło i zabawnie, znajomych i kolegów miałem mnóstwo. Może pamiętasz typową postać hrabiego Pilawy? Co ten waryat wyprawiał, Bóg wie jeden. Otóż dziwaka tego łączył ścisły stosunek z dziewczyną ładną, zresztą może wytworniejszych manier niż te panie, które poznałeś, w gruncie jednak rzeczy istotą nadzwyczaj zepsutą, pozbawioną uczuć i serca. Zwała się ona, zdaje mi się, Sprytnicką. Nie będę ci opisywał jej apartamentów i zbytków. Do rzeczy idziemy, do rzeczy. Otóż hrabia postanowił się ożenić. Cóż to trudnego? Wynaleziono mu dziewczynę ładną, a podobno i rozumną. Ślub odbył się wspaniale, niedaleko od Warszawy, cały więc świat tam się zjechał; były też i inne dyrdymałki: malowniczo ubrani włościanie, kwiaty, muzyka i t. p.; ślub dawał podobno sam ksiądz sufragan. Sprytnicka udawała, iż ją to wszystko nie obchodzi; udawała spokój, cieszyła się z pańskiego wynagrodzenia zawodu, ale nie zaniechała zemsty. Mniej więcej w kilka dni po ślubie napisała do młodej hrabiny list z po-

winszowaniem zamełcia. „Nie winszuję pani hrabinie,“ pisała, „męża, bo niewiele on wart; nie winszuję człowieka, bo to też lichota; ale winszuję i zazdrozczę pani tego bezwstydu i cynizmu, jaki przed panią w chwilach poślubnych roztoczy. Jesteś pani wybranką losu, bo tylko my, istoty upadłe, które jednym skinieniem rzucamy pod nasze stopy równie upadłych mężczyzn, możemy się zanurzać w tych falach rozkosznego przesytu, niedostępnego nawet wyobraźni ich żon i matek.“ A wiesz, co ta głupiutka hrabina zrobiła z tym listem?

— Co?—zapytał Tadzio.

— Pokazała go matce, zapłakała się, zaczęła schnąć i więdnąć; trzeba ją więc było wyprawić do Meranu.

— A on?

— On?... Nie wiem. Zdaje mi się, że go wczoraj widziałem ze Sprytnicką.

— To okropne!—zawołał Tadzio.—Do widzenia, pani Prosperze! Pójdę szukać zapomnienia o tem, co mi pan mówiłeś.

— Czy będziesz go szukał u Józi?

— Nie dowiesz się pan tego. Do widzenia!

To mówiąc, Tadzio pobiegł szybko, i wstchnąwszy, zaczął rozmyślać.

VI.

DZISIEJSZE STARE PANNY.

ROZDZIAŁ XXI.

Tadzio przypatruje się klinice. — Teorya dalsza o wymiarach wątroby.

— I po co te kobiety wychodzą za mąż? — myślał Tadzio — po co? po co? Dlaczego mężczyźni się żenią? Nie mogę tego pojąć, ani zrozumieć.

Szedł tak zamyślony, ale zabrakło mu czasu do kontemplacyi, bo ktoś z lekka dotknął jego ramienia.

Tadzio obejrzał się i zobaczył znanego nam już z poprzedniego opowiadania doktora.

— Gdzie idziesz, młokosie? — szepnął pobłaźliwie.

— A tak, przed siebie.

— To widzę. Radbym się jednak z tobą napić piwa, ale mam jeszcze trochę roboty w klinice. Chodź ze mną.

Klinika była niedaleko. Doktor zadzwonił—zazgrzytał w starym zamku klucz żelazny.

Tadzio wszedł do kliniki.

Po klinice uwijało się kilku studentów medycyny, badając pilnie i mierząc temperaturę chorych. Znany nam doktor i drugi asystent doglądali tych zajęć. Do sali weszła stara, niska siostra miłosierdzia.

— O! dobrodziejka!—zawołał jakiś chory z kąta.

Wszyscy chorzy unieśli się z lekka na poduszkach.

Asystenci i studenci powitali z uszanowaniem staruszkę, która natychmiast pobiegła do pokoiku za kliniką. Tam pozabierała ze stolika przygotowane lekarstwa, mówiąc do siebie półgłosem:

— Proszki pod N. 3, krople pod N. 4, pod N. 13 kompres gorący, a tu znowuż proszki pod N. 14...

I podreptała sędziwa siostra do łóżek chorych.

— Weź pan, weź proszek — szeptała do dogorywającego już suchotnika;—kaszel ustanie panu... Pan Jezus dobry...

— Nic mi już, moja siostró, nie potrzeba, nic nie boli.

Twarz siostry miłosierdzia pobladła. Wezwwała asystenta do łóżka—chory już konał.

A siostra miłosierdzia z pogodną miną anioła podała choremu proszek. Cieszyła go nadzieją powrotu do zdrowia, a w duchu szepotała pacierz za umierającego.

— Muszę się śpieszyć — myślała:—trzeba dać chorym lekarstwo, a nad tym biednym czuwać do skonu.

Za każdym krokiem sił przybywało starszce. Skrzydła jej białego kornetu fruwały niby białe skrzydła gołąbka.

Z anielską cierpliwością słuchała skarg chorych: że lekarstwa gorzkie, że kompres za gorący; obeszała salę, nie szcędząc nikomu słów pociechy i nadziei; tu poprawiła poduszkę pod głowę chorego, tam troskliwie przykryła kołdrą wpół odzianego pacyenta. Wreszcie, ukończywszy pracę mrówczą, powróciła do biednego suchotnika.

— A co? ustał kaszel i potów niema. Możebyś pacierz odmówił? O, tak, dobrze, dobrze!

— Mój Boże! — szepnął chory—żebym ją jeszcze zobaczył!... tak ją kochałem!...

— Zobaczysz, duszo, zobaczysz—mówiła siostra miłosierdzia. — No, mów dalej: Bądź wola Twoja...

— Och!—jęknął chory i opuścił głowę na poduszkę.

Staruszka pomodliła się chwilę nad zmarłym, i powstawszy z kolan, zapytała asystenta:

— Panie konsyliarzu, czy kompres pod N. 14-ym ma leżeć do rana, czy trzeba wcześniej odmienić?

— O! można, proszę siostry, zostawić do jutra — rzekł doktor i ze studentami opuścił salę.

Tadziowi cały ten obraz głęboko wyrył się w duszy. Szedł za swoim towarzyszem milczący i smutny.

— Cóżes taki nieswój? — zapytał go młody lekarz—przecież idziemy na piwo...

— A, mój drogi, ten wasz szpital z rozdzierającymi scenami, ta postać anielska siostry miłosierdzia...

— O, już zaraz anielska!... Zwykła kobieta. Czybyś ty umierał, czy ja, naprzód naciągnie cię na spowiedź, a potem będzie nad tobą czuwała jak siostra, płakała jak matka; dobre kobiety, ale wrażliwe, jak wszystkie stare panny.

— Sądziś więc, że wszystkie stare panny są tylko wrażliwe?

— Nie sędzę, bo pewny jestem. A dodam jeszcze: nie tylko wrażliwe, ale złe, grymaśne, okrutne, a co najważniejsza... chore.

— Ależ oszalałeś chyba!

— No, nie tak bardzo, jakbyś sądził. Bogu dziękować, mam niezłą praktykę, a, jak widzisz, zarobek wcale skromny, a to dlatego, że, jako specjalista od nerwów, mam na dziesięć pacjentek dziewięć starych panien. Anibyś uwierzył, co to za biedne istoty. Trzydzieści lat życia cięży im tak, jakby całe wieki przeżyły, i to wśród klęsk i burz najokropniejszych. Trywialne to, mój kochany, ale więcej tam cierpi żołądek niż serce, więcej dokuczają nerwy niż wyrzuty sumienia, niż tłumione uczucia, choćby najsilniejsze. At, profan jesteś, ale ci powiem że ja kobietę po wątrobie poznaję, tak samo, jak ty kurczę w restauracyi. Gdy wyczuję opuk prawidłowy, matowy, ograniczony liniami wskazanemi w anatomii opisowej... Ale ty nie wiesz, co to jest anatomia opisowa. To jest, widzisz, rodzaj Bådeckera po uroczych górach Alp lub Tatr, gdzie się wszystko w jedną harmonijną całość łączy. Co innego znów, widzisz, jest anatomia patologiczna: to rodzaj romansu Zoli lub Maupassant'a,

gdzie wprawdzie widzisz fałsz w psychologii, policzek, wymierzony Psyche mitycznej, a w fizjologii chorobliwą zwyrodniałość. Otóż, gdy wyczuję w warunkach skreślonych powyżej wątrobę, powiadam sobie: oto jest zuch kobieta! Pytam się jej od razu: ile ma dzieci, czy dobrze wyglądają, jak się uczą? I nie zawodzę się nigdy. Zuch kobieta opowiada mi najdrobniejsze szczegóły swego życia, spowiada się... i wierzaj mi, nigdy rozgrzeszenia nie potrzebuje; porady wcale niewiele: najprostszy środek sympatyczny jej wystarcza. Wraca do domu, szczęśliwa, że może dalej ciągnąć jarzmo życiowe. A jedyną jej chlubą, gdy czasem wspomni przed znajomymi: „Byłam na kuracyi w Warszawie.“ Ale nudzi cię może ta prelekcya?

— O, nie, doktorze; mów dalej.

— A więc dobrze. Wiele więcej sprawia mi kłopotu wątroba rozszerzona znacznie, przy zabarwieniu brunatnem skóry. Nieraz się błąkam w domysłach, tu i owdzie szukając przyczyny złego, ale w połowie choćby wypadków widzę rzecz dosyć jasno. To kobiety, które cierpiały więcej za swych mężów, niż za siebie. Używam sposobu prostego—pytam: „Czy pani zalecano Karlsbad?“ Gdy mi się uśmiechnie tym śmiechem, jakim się śmieje zdeptany raci-

cę krowy kwiat do zachodzącego słońca, wiem, co mam myśleć. Nie radzę wcale Karlsbadu, zalecam ruch i pracę; nie dlatego wszakże, żeby ruch i praca mogły coś pomódz chorobie—wiem to z doświadczenia, bo leczyłem i konduktorów tramwajowych i urzędników instytucji prywatnych,—ale ot dlatego, żeby myśli kobiety rozerwać, usunąć rdzeń zła, podkopującego jej zdrowie.

Najgorzej atoli, gdy wyczuwam pod palcami wątrobę małą, niedosięgającą granic normalnych, wydającą opuk matowy, suchy niezmiernie, przypominający szmer, jaki wydaje lichtarz cynowy stawiany na drewnianym katafalku.

Wówczas badam pacjentkę o przeszłość.

Mam spisane w tym przedmiocie rozliczne notatki. Streszczę ci je w krótkości.

Kiedyś, w gorączkowych chwilach, przeżywanych przez ludzkość, uderzano na alarm ogólnie. Wołano powszechnie: „Kobieta nie jest kobietą; jest człowiekiem, i, jako człowiek, żyć winna bez pomocy mężczyzny!“

Dziwni ci ludzie cieszyli się jak dzieci, że wymyślili rzecz nową, że rozwinęli kobietę z powijków niewolnictwa i nadali jej godność człowieczą. Zapomnieli jednak pewnej drobnej okoliczności: że w VI wieku ery naszej uczoney

Hieronim Strydoneński pisał o tem poważne artykuły i traktaty. Tylko że on miał rację po temu, bo występował w obronie kobiety, kiedy w istocie odmawiano jej duszy i człowieczeństwa. Oni zaś pisali swe apologie wtedy, gdy kobiety od niepamiętnych czasów wodziły za nos mężów i z większem lub mniejszem powodzeniem spełniały obowiązki mężów stanu w całej Europie, a nawet i w Azji.

W tej to właśnie chwili odrodzenia kobiety, ucłowieczenia jej, moje pacjentki kształciły się. Och! czegoż ich nie uczono: fizyologii, anatomii, psychologii, ekonomii. Widziałem kajet z anatomią: Zaczynało się od głowy, dalej szedł mózg, język, uszy, oczy, ramiona, przedramiona, kończyny—i na tem się kończyło, bo... nadchodziły wakacje.

Na rok następny sprytna nauczycielka zaczęła od budowy kręgosłupa, zeszła do stopy, zdaje mi się, i skończyła na rzepce kolanowej, bo... nadchodziły wakacje.

I owe biedne dziewczyny sądziły, że są najznakomitszymi anatomami na świecie. Jedna z nich pytała mnie naiwnie, czy wiem, gdzie się mieści nerw trójdzielny. I tak samo jak z anatomią ciała, obchodzono się niemiłosiernie z anatomią duszy.

Co za zbrodnia—wołano—uważać kobietę za uzupełnienie mężczyzny, porównywać ją do bluszczu, owijającego się o konar dębu! Bluszcz winien rosnać samodzielnie, przeciskać się przez zastarzałą dębów koronę, biegnąć w obłoki, torować drogę światu!

Nie, nie męża potrzebujesz — kładziono w uszy młodej dziewczynie; — przeznaczeniem twojem oddać społeczeństwu usługi przez wyrób koronek, hodowlę pszczół, odłuszczenie serwatki, wyrób krawatów i kształcenie młodych pokoleń.

I biedne te dzieci, posłuszne głosom, których nie rozumiały, biegły na oślep — robiły koronki, budowały ule, odłuszczały serwatkę, dumne, że spełniają wielkie posłannictwo kobiety-człowieka!

ROZDZIAŁ XXII.

Dalszy ciąg teorii doktora.—Sen Tadzia.—Prezes rozkazuje Anielci, żeby tak było, jak mama chce.

W epoce rozkwitu tych istot zjawia się nieraz do prozelitek owej doktryny nieśmiały chłopiec i szepce coś o głębszych uczuciach, o celu życia. Paradny sobie! Nie wiedział, że kobieta jest człowiekiem! Szli odprawieni z kwitkiem biedacy, jak tam komu wypadło—

jeden szukać dalej szczęścia, drugi do knajpy; byli i tacy, co, nieprzywiązani niczem do kątów własnych, szli zbierać ruble na krańcach świata, a tymczasem biedne dziewczyny pozostały i dostarczają mi dziś najliczniejszego zastępu pacjentek.

Nie wierz, mój Tadius, żeby dziewczyna nie miała chwili w życiu, w której nie mogłaby wyjść za mąż. Ale biedna, nieszczęśliwa, jeżeli tę chwilę opuści, samowolnie zwłaszcza. Czy winna temu? Nie, wcale. Obiecywano jej ogrom szczęścia w życiu niezależnem, a jednocześnie pozbawiano ją pomocy najwierniejszego, najlepszego przyjaciela — męża. Upajano ją ułudami zadowolenia największej namiętności ludzkiej — dumy, a jednocześnie tworzone w jej sercu próżnię bezdenną, bezgraniczną, niedającą się niczem wypełnić.

I oto setki mam takich pacjentek, którym mówię: „To, na co się pani uskarża, jest niczem,“ a czuję, że to, co jej dolega, jest cierpieniem duszy, wobec którego jestem bezsilny. Bo i cóż znaczą moje środki wobec takich warunków, jak denerwująca literatura, samotność, bezczynność, brak wiary w siebie, w ludzi, we wszystko?

Dzisiejsza stara panna to nie siostra miłosierdzia, której serce przepelnione jest

cierpieniem bliźnich; nie bohaterka, ciągle szczęśliwa wspomnieniem o tym, który był istotą jej duszy, a którego wydarła jej brutalna dłoń losu; nie dziewczica, która, zastępując zmarłą matkę, podjęła obowiązki macierzyńskie względem rodzeństwa; nie kobieta dumna, która z godnością przez życie całe nosi na niepokalanej skroni wieniec cierniowy zawodu, doznanego od wybranego i ukochanego mężczyzny. To wytwór chorobliwy, obalamucony w dzieciństwie, a opuszczony w chwili, gdy najwięcej rady potrzebował.

Czytałem Manzoni'ego, i wierzaj mi, nie tyle mnie boli i oburza brutalność owego ojca, który zamyka córkę w klasztorze, byle synowi nie uszczuplić fortuny, ile naiwność koryfeuszów człowieczeństwa kobiety, która z hożych i wesołych dziewcząt, przeznaczonych na matki i obywatelki kraju, wytwarza istoty chorobliwe, smutne, cierpkie i, jak powiedziałem, okrutne. Może nie wierzysz? Oto przykład: Każda mężatka, o ile to jest w jej mocy, stara się kojarzyć małżeństwa; każda stara panna o ile możliwości usiłuje im zapobiegać.

Tłómacz sobie ten fakt, jak ci się podoba...

Tadzio słuchał tej prelekcyi w osłupieniu.

Przy piwie rozmawiał z doktorem o rzeczach obojętnych.

Wróciwszy do domu, usnął.

Śniło mu się, że widzi Anielkę z twarzą żółtą jak cytryna, uskarżającą się na brak snu i apetytu, rozdrażnienie i t. p. Doktor zapewnia ją, że niema nic strasznego, zaleca arszenik i zimne nacierania pleców, a pisząc receptę, mruży pod nosem: I cóż ja tu poradzę? Łotr ten Tadzio!

Ze snu ciężkiego zerwał się Tadzio. Późno już było. Ubrał się pośpiesznie i pobiegł do pp. prezesów.

Ani poznał Anielci: była tak miła, tak powabna, tak rumiana, że biedak ujął ją za rękę, spojrzał w oczy i szepnął:

— Anielciu, czy chcesz być moją żoną?

— Co też pan mówi!—szepnęło zapłonięne dziewczę.

W tej chwili, niby geniusz w tragedji greckiej, we drzwiach ukazała się prezesowa.

— Co to za czułości! Wy zawsze tylko z czułościami!

— Pani! ośmieliłem się prosić pannę Anielę o wzajemność—odezwał się Tadzio.

— To trzeba było mnie powiedzieć i poczekać na ojca. Przecież ja sama nic w domu nie znaczę. Co ojciec na to powie! Anielka! idź, każ dawać śniadanie.

Dziewczyna wybiegła.

— No, dobrze, mój kochany—mówiła dalej prezesowa,—dobrze; tylko pamiętaj, żebyś się wystrzegął kart i butelki; zresztą wiem, żeś porządny chłopiec. Nad Anielką też zbytecznie nie przewódź; niech choć ona ma trochę wolnej woli, nie tak, jak ja, co całe życie muszę słuchać męża, choć, co prawda, poczciwe to człowieczysko! Jest mi we wszystkim posłuszny, a nawet zdaje mi się, że z niego coraz większy safandula; mężczyzna zaś powinien być energiczny.

Tadzio mało co rozumiał z tych wywodów prezesowej, zato czule całował jej ręce, dziękując, że go przyjęła do swej rodziny.

Najzabawniejszy był prezes: gdy mu bowiem prezesowa powiedziała, że Tadzio oświadczył się o Anielkę, pomyślał chwilę i rzekł:

— A to... jak uważasz, duszko.

— Ty zawsze z twojem: „jak ty uważasz,“ jakbyś sam nie mógł zauważyć. Jak każesz, tak będzie.

— No, więc każę, żeby tak było, jak ty chcesz.

— Ja nic nie chcę! Czy ja mogę czego chcieć?

Stało się tedy, że, jak kazał prezes, czyli jak sobie tego życzyła prezesowa, ślub Tadzia z Anielcią odbył się nader okazale. Chłopak

pozbył się wszelkich wątpliwości co do małżeństwa i jego zalet, ku wielkiemu zgorszeniu pana Prospera, który, tęskniąc za Tadiem, mawiał nieraz:

— No, ktoby to pomyślał! Zdawało się, że taki rozsądny, a strzelił takiego bąka! Oj, ta młodzież, ta młodzież!

VII.

JESZCZE PAN PROSPER.

ROZDZIAŁ XXIII i OSTATNI.

Prezes.—Starzy znajomi.—Skrucha pana Prospera.

Już od kilku miesięcy Tadzio był szczęśliwym mężem Anielki.

Babunia była w siódmym niebie, gdy Tadzio z żoną zachodził do niej od czasu do czasu.

Szczególniej Anielką babunia była zachwycona. Wtajemniczała ją we wszystkie sekreta przyrządzania białej kawy.

— Bo to, widzisz, moja malutka—mówiła staruszka, — oni wszyscy przepadają za białą kawą: i nieboszczyk twój dziadek, i ojciec Tadzia. Tylko kawę trzeba wsypać do woreczka z cykoryą i dopiero zagotować w imbryczku: będzie klarowna, bez fusów. Trochę więcej kawy wychodzi, ale nie potrzebuje się odsta-

wać, niema wcale fusów aż do ostatniej filiżanki. A znowu śmietanka, jak się zagotuje, trzeba ostrożnie zgarniać łyżeczką, to będzie ładny kożuszek; kawa bez kożuszka to czyste pomyje. Piłam raz kawę z cukierni... rozchorowałam się. Jak oni się tam wszyscy nie potrują!

Wszakże nie o samej tylko kawie opowiadała babunia Anielce, bo wspominała jej też i o nieboszczyku dziadku, i o drobiazgu, co się zdrowo chował, bo, co prawda, najmłodsze z tego drobiazgu, ojciec Tadzia, już przeszedł pięćdziesiątkę, a przecie jeszcze doskonale wygląda.

Anielcia słuchała tych opowiadań uważnie—i rzeczywiście Tadzio pijał co dzień w domu doskonałą kawę białą. Anielcia zaś przemyśliwała, co to będzie z tym drobiazgiem—i zasępiła się chwilami, zwyczajnie jak młoda mężatka.

Prezes, po wydaniu za mąż Anielki, spoutulniał więcej jeszcze wobec żony.

— Szkoda dziecka! — myślał. — Dawniej choć czasami żona nią się zajęła, a teraz Anielcia wyfrunęła i ja sam tu zostałem.

Myśląc to, starowina oglądał się trwożnie, czy czasem nie stoi gdzie żona i nie zacznie zwykłego kazania:

— Ty zawsze tylko myślisz!

Należy bowiem wyznać prawdę, że prezesowa wzięła obecnie męża w większą, jeżeli to być może, opiekę, a utyskiwała coraz więcej na despotyzm mężów.

Wisty zredukowała do możliwego minimum. Zato częściej wyciągała męża na spacer, dowodząc, że rada byłaby chwilkę w domu posiedzieć, ale skoro to dla zdrowia męża potrzebne, to trzeba się przejść.

— A może—dodawała—spotkamy Anielkę.

Prezes, rad nierad, dreptał drobniuchnym krokiem przez aleje, co mu dodawało i zdrowia i apetytu. Czasami w istocie spotykali córkę z Tadzkiem, ale pomimo tego znani nam już z początku opowiadania trzej starzy przyjaciele prezesa: profesor, doktor i prawnik, szepotali sobie po cichu:

— Sfiksował prezesisko, zapomina się całkiem przy wiście.

Była prześliczna niedziela jesienna. Tadzio z Anielką, jak zwykle, przyszli na obiad do rodziców.

Przed obiadem prezes spojrzał pytająco na żonę.

— Czegóż się tak patrzysz na mnie — rzekła prezesowa, — jakbym cię chciała zjeść? Ty zawsze tylko się patrzysz. Lepiej napij

się wódki z Tadzkiem. Zaraz podają zupę. Wy zawsze tylko tę wódkę pijecie!

Prezes, czując przed obiadem pewien chłód w żołądku (na flaki od wesela Anielki wcale nie uczęszczał), odezwał się z uśmiechem:

— Widzisz, moje dziecko, nie wiem, gdzie kluczyki.

— Ty nigdy nie wiesz, gdzie kluczyki... jakbym je przed tobą chowała. Przecież mam je w kieszeni.

— Daj, duszko; otworzę.

— Po cóż masz sam otwierać? Myślałby kto, że ci tu nie ma kto otworzyć. Zaraz sama otworzę.

— Mamuńciu, niech mama pozwoli, ja zaraz podam; wiem, gdzie stoi karafka — zaszczebiotała Anielka.

— To u siebie w domu podawaj. Od męża nie mam odrobiny wolnej woli, jeszcze ty mi będziesz dysponować! — i dama, oddychając krótko, dostała z szafki nalewkę.— To tak, widzisz, Anielciu, tak całe życie musisz być uległą mężowi. Póki jeszcze młody, to po rękach całuje, a potem zdziwaczeje i nawet sobie sam wódki z szafy nie wyjmie... trzeba mu podać. No, pijcież, proszę... Ależ nie ten kieliszek, to od malinowej; weź ten.

— Wszystko jedno, duszko—rzekł prezes.

— Wcale nie wszystko jedno. Kto widział!... taki mały kieliszek przed obiadem! Co zakąsicie? Jest auszpik z indyka i rolada z prosięcia.

— Co każesz, duszko.

— Ja każę!?... Słyszał to kto? No, sama osądź, Anielciu.

— To, duszko, auszpiku nam podaj.

— Któż tak robi! Naprzód zakąście roladę, bo ostrzejsza, a potem zjecie auszpiku.

Pani prezesowa utrzymywała przy obiedzie, że miał być rosół, bo to i zdrowsze i posilniejsze, ale mąż uparł się, żeby była zupa pomidorowa.

— Niema nic gorszego, moja Anielciu, jak kiedy panowie wtrącają się do kuchni.

— Tadzio, proszę mamy, nigdy się do kuchni nie wtrąca.

— To bardzo źle, moja kochana. Skądże możesz wiedzieć, co mu smakuje?

Anielcia zaśmiała się srebrnym głosem.

— Tobie zawsze tylko śmiech w głowie! Zawsze byłaś trzpiotem! — skarciła ją prezesowa.

Po obiedzie pani domu zaopiniowała, że mąż musi się zdrzemnąć (choć prezes zape-

wniał najuroczyściej, że mu się spać nie chce) że musi sama z Anielcią koniecznie pójść do ciotki.

— A ty, Tadziu—dodała,—kiedy już tak koniecznie chcesz, to możesz sobie pójść na bilard. Powiadacie, że to zdrowo? Nie wiem, co wy tam zdrowego widzicie. Tylko pamiętaj, żebyś przyszedł na herbatę po Anielkę.

Tadzio, wiedząc, że opozycja na nic się nie przyda, poszedł na bilard.

Na górcie przy osobnym stoliku siedział nad filiżanką kawy pan Prosper.

Tadzio przysiadł się przy nim.

— Ileż to czasu nie widzieliśmy się! — rzekł.

— Nie lubię spotykać paragrafów.

— Więc mi pan nigdy nie wybaczy, że się ożenił?

— Dlaczegożbym ci nie miał wybaczyć? Żałuję cię tylko.

— Ależ ja jestem szczęśliwy.

— Boś waryat.

— Dlaczego?

— Posłuchaj! Nie wiem, czy tam prezowski żona pozwoliła dziś spać po obiedzie, lub nie. Nie założyłbym się, czy ci też nie kazała iść na bilard. Co mi tam do tego! Ale ci ręczę, że na starość zostaniesz, czem zechcesz:

prezesem, doktorem, profesorem, czem chcesz, mówię, tylko nie sobą.

— Przypomniałeś mi pan dawnych znajomych. Co się też z nimi dzieje?

— Ciekawys? Zacznę po kolei. Piękna brunetka, ta, wiesz, coś ją widział na wieczorze u pani Laury, kupiła sobie nowe okrycie, a mąż jej dostał 200 rs. podwyżki. Nieocenyony dyrektor!...

— Ach, daj mi spokój! Powiedz lepiej co o hrabinie Izie.

— Nudzi się śmiertelnie, żąda wrażeń, podobno bierze lekcyę gry na skrzypcach i robi zadziwiające postępy.

— A ta biedna Matyllda? Znałem ją tak dawno!...

— A, ta siostra miłosierdzia! Cóż chcesz? Busk nie pomagał, odwiozła więc męża do Trenczyna, czy też do Akwizgranu. Tylko podobno i sama niedomaga. Ale wiesz, co za kawał zrobiła ta Ciemięrzycka, co ci to takie morały prawila w handlu o kurczętach?

— Co takiego?

— Zapisała chorej jakieś okłady, pod którymi chora poczuła ból gwałtowny. Posyła ją po Ciemięrzycką... nie zastają jej w domu; mąż jej bierze palto i udaje się do chorej. Tam spotyka dwóch lekarzy, badających roz-

paczliwy stan chorej. Jako doświadczony doktor, chwyta za lekarstwo, stojące na stole, a odczytując receptę, krzyknął: osiel! Spogląda na podpis... jęknął: żona! Skandal straszny, publiczny. Na drugi dzień kursowała już ta historia w światku lekarskim. Podali się do separacyi.

— Cóż porabia mój przyjaciel, pan Rudolf Grossholtz?

— Jakto, nie wiesz? Już po ślubie z panną Reginą Gutgold. Ale muszę ci też powiedzieć, że drugi twój przyjaciel, pan Nikodem Mirelsztejn, jest w Ameryce.

— A on tam co robi?

— Nic. Tracił pieniądze na uroczę sylfidy... musiał się wkońcu zapożyczyć u pryncypała; że zaś nie miał otwartego conta, musiał drapnąć do Ameryki.

— Co też pan mówi!

— O, jeszcze więcej ci powiem: Pamiętasz ten wesoły piknik w towarzystwie dam?

— O, i jak jaszczel!

— Otóż od tej pory Adaś stracił miejsce na kolei, Franio wyleciał z kantoru, Olek dyszy jeszcze i goni ostatkami fortuny po rodzicach.

— A te panie?

— Widuję je często... czasem w tramwaju, czasem w powozie, bo, jak wiesz, różnie to bywa na świecie.

— Smutne to, bardzo smutne!

— No, powiedz mi, Tadziu, ale powiedz prawdę: jesteś szczęśliwy?

— O ile człowiek może być szczęśliwym.

— I czemu to przypisujesz?

— Albo ja wiem? Ot tak jakoś przyszło samo z siebie... kobieta dobra, zacna...

— No, ale i ty byłeś odważny! Cała moja filozofia życia, żywe przykłady, pierzchły w twym umyśle, jak senne widziadła, pod promieniami modrych źrenic pięknej blondynki. Ha, czemuż i ja takiej w życiu nie poznałem! a może... czemu mi twej odwagi w życiu zbrakło! Bądź zdrow, chłopcze! Idź już, idź, bo już za długo czeka na ciebie Anielka.

K O N I E C .

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

— Zmierzono, że...
 — Nie powiodło się...
 — O ile...
 — I...
 — Kto...
 — Nie...
 — W...
 — A...
 — Kto...

KONIEC

TREŚĆ.

Str.

I. Małżeństwa dobrane.

ROZDZIAŁ I. Jako babunia wymownymi przykładami stara się dowieść Tadziowi korzyści małżeństwa	3
ROZDZIAŁ II. Pan Prosper gorącą wyobraźnię Tadzia oblewa zimną wodą	7
ROZDZIAŁ III. Tadzia budzi z zamyślenia parasolka.—Poglądy kobiet na mikroskop i jurysprudencję	11
ROZDZIAŁ IV. Osobliwy dziennikarz, którego żona stawia do kąta	19
ROZDZIAŁ V. Teorya kupca o kasyerstwie.—Zabawne opowiadanie lekarza	22

II. Małżeństwa niedobrane.

ROZDZIAŁ VI. Poglądy pani Laury na obowiązki męża.—Kilka słów o patryarchalnym biurze	26
ROZDZIAŁ VII. W buduarze hrabiny	31
ROZDZIAŁ VIII. Ballada prozą	34
ROZDZIAŁ IX. Stargany welon	36
ROZDZIAŁ X. Żywy nieboszczyk.	46

III. Małżeństwa dyplomowane.

ROZDZIAŁ XI. Przegrana partya.—Kurczęta i przesady	49
ROZDZIAŁ XII. Historia człowieka, który nie miał domu, tylko stancję z całodziennem utrzymaniem, opalem i światłem	54

IV. Matżeństwa cór Syonu.

ROZDZIAŁ XIII. Tadzio porównywa pannę Reginę do biblijnej Judyty i lęka się o utratę głowy 56

ROZDZIAŁ XIV. Bankier Gutgold delikatnie bada, na co Tadzioowi potrzeba 10,000 rubli. — Pan Grossholtz jest smutny. — Tadzio przyrzeka pamiętać o pustelnicy z pośród mchów i paproci 61

ROZDZIAŁ XV. Pan Nikodem Mirelsztein opowiada, jak wziął na odwagę, wypił dwa kieliszki śliwownicy, zjadł całe jajko na twardo i oświadczył się, no... i dostał odkosza . . . 66

ROZDZIAŁ XVI. Dwie znękanе kobiety i energiczna panna Beata 72

ROZDZIAŁ XVII. Na falach wiślanych 79

V. Niby-matżeństwa.

ROZDZIAŁ XVIII. Jeszcze jedna teoria pana Prospera, oburzająca Tadzia.—Niewolnicy złotych serc 84

ROZDZIAŁ XIX. Zawieszenie broni i garstka potłuczonego szkła 90

ROZDZIAŁ XX. Dlaczego pewna młoda hrabina wyjechała do Meranu 93

VI. Dzisiejsze stare panny.

ROZDZIAŁ XXI. Tadzio przypatruje się klinice.—Teoria dalsza o wymiarach wątroby 95

ROZDZIAŁ XXII. Dalszy ciąg teorii doktora.—Sen Tadzia.—Prezes rozkazuje Anielci, żeby tak było, jak mama chce 103

VII. Jeszcze pan Prosper.

ROZDZIAŁ XXIII i OSTATNI. Prezes. — Starzy znajomi.—Skrucha pana Prospera 109



Mit

sept

runf

du

on



4000000000 8

40000000

40000000

4000000

400000

40000

5

40

40

46

40

46

000

5000000000 0 0

Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 31217

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki



1000171931